

Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — MONTHLY REVIEW

Nr 138 (Rok IX, Nr 9)

Wrzesień, 1949

Cena (Price) 2/-

DRUGA WOJNA I ZIMNA WOJNA

DATA wyjścia niniejszego numeru zbiega się z dziesiątą rocznicą wybuchu drugiej wojny światowej, z ową pamiętną nocą, kiedy niebo polskie pokryło się samolotami Luftwaffe a żelazne kleszcze pancernych dywizji niemieckich uchwyciły Polskę od Krynicy po Augustów.

Lata, które minęły od tej rewolucyjnej w życiu każdego Polaka — a może i każdego człowieka — chwili do dnia dzisiejszego, dzielą się na dwa zupełnie wyraźnie okresy, niemal równej długości. Pierwszy okres wypełniła walka z Niemcami. Wojna niemiecko-polska przekształciła się w trzy dni w wojnę niemiecko-europejską, a w dwa tygodnie w wojnę sowiecko-polską, a następnie w wojnę Niemiec, Japonii i Włoch z Ameryką, Anglią i Rosją. Niemcy zostały pokonane, okupowane i podzielone, pobici zostali ich sojusznicy. Wraz z klęską wojskową przyszedł upadek dyktatury hitlerowskiej, zohydzonej do ostatnich granic w oczach całego świata cywilizowanego przez potworne praktyki „rasy panów”. Hitlerowski epizod historii pozostawił po sobie miliony nie poległych ale wymordowanych, więcej pieców z kośćmi ludzkimi niż pobojuwisk.

Ale na jego miejsce nie weszły sprawiedliwość ani wolność.

Punktem przelomowym dwóch okresów był zjazd w Teheranie, kiedy postanowiono podzielić Europę na pół między Anglosasów a bolszewików. W konsekwencji tego układu Europa przestała istnieć. Wschodnia jej połowa zamieniona została w lenno sowieckie, zachodnia stała się już tylko przyczółkiem wschodnim Ameryki. Nastąpił okres pokoju zbrojnego, który przerodził się następnie w okres „zimnej wojny” na całym świecie, na jej marginesie toczą się „gorące” wojny w Chinach, Grecji, Palestynie. Ckres

„zimnej wojny” dał niezwykle sukcesy Sowietom. Rozciągnęły swoją władzę nie tylko na wszystkie państwa na wschód od linii Triest-Lubeka, ale także na większą część Chin, a swoimi piątymi kolumnami sięgnęły głęboko na południowy-wschód, niemal po Australię i Indie. Sowiety władają dziś nad większą liczbą ludności niż Ameryka z wszystkimi swoimi potężnymi sojusznikami.

Mimo to Ameryka ma przewagę techniczno-gospodarczą, przewagę sympatii w świecie i przewagę techniczno-wojskową, przynajmniej do czasu. To ostatnie jest wynikiem wydarzenia sprzed końca wojny, jakim było skuteczne użycie w Japonii bomby atomowej. Wynalazek ten, którego skutkiem dla życia ludzkości jeszcze nie da się przewidzieć, stał się podstawą regularnej produkcji bomb atomowych, jak dotąd tylko w Stanach Zjednoczonych. Obawa przed użyciem tej broni jest jednak tak olbrzymią, że działa również hamująco w stosunku do przyszłej wojny.

W ciągu pierwszego pięciolecia po wybuchu wojny przeżyliśmy upadek Polski, Danii, Norwegii, Holandii, Belgii, Francji, Jugosławii, Grecji, Rumunii, Węgier, Włoch, Bułgarii, Niemiec, Japonii. W ciągu drugiego pięciolecia przeżyliśmy podporządkowanie się wszystkich państw zachodnich Ameryce, podbój Chin przez komunistów, powstanie niepodległych Indii, Pakistanu, Cejlonu, Burmy, Indochin, Indonezji, Egiptu, Izraela, Syrii, Libanu.

Przeżyliśmy w ciągu dziesięciolecia kacety i krematoria, bomby atomowe i bomby latające, niewolę połowy Europy i wyzwolenie połowy Azji. Zobaczyliśmy Kolegium Kardynalskie z mniejszością włoską i z kolorowymi kardynałami. Przeżyliśmy upadek ideologii pogańskiego nacjonalizmu,

upadek izolacjonizmu amerykańskiego, zwycięstwo i uwikłanie się socjalizmu angielskiego.

W pierwszym okresie dziesięciolecia Polska przeszła przez najcięższą w swych dziejach krwawą kąpiel. W wyniku tego okresu zyskała granicę na Odrze i Nisie. W drugim okresie Polska dostała się pod władzę sowiecką, która grozi jej nie tyle wyniszczeniem fizycznym co powolnym rozkładem samej więzi narodowej i zniszczeniem odrębności cywilizacyjnej. W tym samym położeniu jest połowa Europy, a druga połowa świadoma jest zagrożenia. Trwanie „zimnej wojny” przez okres następnego dziesięciolecia jest nieprawdopodobne.

Polski ruch narodowy poniósł ogromne straty w ludziach, zwłaszcza w młodszym pokoleniu, które dostarczyło najwięcej żołnierzy i bojowników walki podziemnej z Niemcami. Tym niemniej umiał on utrzymać najjaśniejszą linię polityczną z wszystkich ruchów polskich. Nie rozdarty w okresie przełomu między pierwszym a drugim okresem, od pierwszej chwili wytyczył linię właściwego postępowania polityki polskiej, nie zrażając się niezrozumieniem jej przez innych w tej czy owej chwili. I dziś trzyma się on wytyczonej linii, nie dając się ponieść nastrojom lub marzeniom.

Rocznice mają to do siebie, że odmierzają czas. W taką rocznicę jak obecna każdemu Polakowi na uchodźstwie politycznym cisnie się do ust pytanie: kiedy wrócimy do wolnej Polski? Pytanie bardzo zrozumiałe ale bezcelowe, bo nikt z poczuciem odpowiedzialności na nie odpowiedzieć nie może. Nie należy go więc stawiać zbyt natargywie nawet samemu sobie. Jest inne, ważniejsze pytanie, które warto stawiać wciąż i które jest celowe: z czym wrócimy do Polski? W tych światowych przewrotach i zmaganiach jak jest znacznie ważniejsze od kiedy.

RADA EUROPY

Pod nienajlepszymi auspicjami rozpoczął się pierwszy zjazd Rady Europejskiej. Poprzedziły go trudności gospodarcze w zastoso-waniu planu Marshalla i zarysowujący się spór amerykańsko - angielski w tych sprawach, a także próby handlowania z państwami podbiłymi wschodniej połowy Europy zarówno przez Brytanię jak i Stany. To ostatnie odbiło się nawet na zupełnym przemilczeniu spraw Europy z za żelaznej kurtyny w przeddzień zjazdu i w jego początku. Niezadowolone znowu z polityki rządu brytyjskiego w stosunku do Ameryki leżało być może, u podłoża zachowania się Churchilla, który uzewnętrznił na forum międzynarodowym spór wewnętrzny kierujący, doprowadzając do dwóch konkurencyjnych kandydatur angielskich na wiceprzewodniczącego Rady i do głośnej a mało grzecznej polemiki z ministrem Morrisonem.

Sprawa żelaznej kurtyny musiała jednak wypłynąć na zgrupowaniu polityków europejskich. Poruszył ją sam Churchill, ale w sposób dość szczególnie. Zaproponował on ustanowienie dziesięciu miejsc symbolicznych w Radzie dla przedstawicieli narodów ujarzmionych przez Sowietów. Nie nazwał po imieniu tych dziesięciu narodów, lecz z liczby zdaje się wynikać, że nie ma wśród nich narodów bałtyckich. Potwierdza to oświadczenie Churchilla, które może być tłumaczone tylko urazem wewnętrznym. Mówił on mianowicie o narodach "na zachód od linii Curzona". Ta linia, która, jak trafnie ostatnio zwrócono uwagę, była opracowana przez b. ministra carskiego Sazonowa, a wprowadzona w życie z niewielkimi zmianami przez Ribbentropa i Molotowa, znikła ostatnio z dyskusji zachodnich polityków. Nawet tak zyczliwy Rosji człowiek, jak przywódca lewego skrzydła Partii Pracy, Crossman, w recenzji z nowej książki Voigta „Pax Britannica” przyznaje raczej twierdzeniu autora, że Rosja musi się cofnąć do swoich granic sprzed roku 1939. Jeden Churchill z uporem nieczystego sumienia powraca, bez żadnej w tym wypadku potrzeby do niesławnego pseudonimu czwartego rozbioru Polski.

Również sprawa Niemiec wypłynęła podczas obrad. I znowu Churchill był tym, który ją wprowadził, domagając się wpuszczenia przedstawicieli Niemiec Zachodnich do Rady. Wywołało to ostrą reakcję ze strony francuskiej. Zabrał głos b. min. Bidault i deputowany Teitgen, b. więzień Gestapo. W istocie dwie te sprawy są ze sobą powiązane: nie można przyjąć Niemiec do wspólnoty europejskiej bez zwichnięcia jej całej struktury, dopóki nie ma w tej Europie państw na wschód od Niemiec położonych. Przedstawiciele większości Niemiec w zachodniej kadłubowej połowie Europy stanowią by musieli niebezpieczeństwo hegemonii niemieckiej w tym ciele.

Sama Rada Europejska nie ma wielkiego ciężaru faktycznego. Jest ona zupełnie skrzepowana decyzjami

Komitetu Ministrów Europejskich. Unia zresztą jest wciąż jeszcze raczej hasłem i przygotowuje się powoli w bólach układów i przetargów między państwami. Będąc ograniczona do zachodniej połowy kontynentu, nie ma własnego życia gospodarczego ani zdolności do obrony swej niepodległości. Żyje dzięki pewinwie łączącej ją z Waszyngtonem, przez którą płyną dolary a ma płynąć także broń.

Mauriac w „Figaro” porównuje Europę do Rossinanty, starego rumaka z Corridy, któremu byk wypruł raz flaki w r. 1914-18, którego następnie jakoś zeszyto i puszczono znowu na arenę, by byk ponownie rozpruł go w 1939-45. Teraz staniającego się rumaka chce się po raz trzeci wypchnąć w szranki, tłumacząc mu, że jeździec będzie go bronił, a w rzeczywistości koń jest potrzebny dla zużycia sił byka i odwrócenia jego uwagi od matadora.

Obraz Mauriaca nie jest słuszny. To nie Rossinante chcą wypchnąć na arenę, lecz tylko jej połowę. Druga połowa rzucona została nowemu rozjuszonemu bykowi pod koniec poprzedniej walki. Tej połowy, którą jeździec mógłby dosiąść nie można ani osiedlać ani nawet porządnie ustawić. Jeżeli jeździec będzie chciał jej użyć, musi sam ją podierać na arenie. Dlatego podejrzania i obawy znakomitego p.sarza francuskiego są nie tyle przedczesne co przestarzałe.

Przedstawiciele krajów z za żelaznej kurtyny mogli być tylko w charakterze obserwatorów. Z Polaków wyjechali do stolicy Alzacji a ewentualnej przyszłej stolicy Europy przez Bielecki i z PPS p. Zaremba.

W jednym z najstarszych kościołów sztrasburskich znajduje się średnio-wieczny obraz przedstawiający symboliczną krucjatę. Ku widocznemu z prawej strony krzyżowi podążają rycerze dzierżący proporce z nazwami krajów europejskich. Przedstawiciele Anglii czy Francji odnajdą tam swoje godła, ale obok nich także proporce z napisami „Hungaria”, „Polonia”, „Lithuania”, „Bohemia”. I jak tu robić bez nich Europę?

REWIZJONIZM NIEMIECKI

W miarę ustawiania trudności wy-dawniczych niemiecka propaganda rewizjonistyczna w stosunku do Polski przybiera na sile. Myliłby się przy tym ten, kto by przypuszczał, że obejmuje ona tylko ziemie, położone między granicą z r. 1939 a Odrą i Nisą Łużycką, — dawne pretensje do „korytarza”, tj. do Pomorza nad-wiślańskiego oraz do Górnego Śląska polskiego w jego przedwojennych granicach wysuwane są znow z całym aparatem tych samych „argumentów”, jakimi posługiwano się w okresie Republiki Wejmarskiej.

Takie właśnie stanowisko reprezentuje wydana niedawno w Hano-werze książka „Ostwaerts der Oder und Neisse” (Wissenschaftliche Ver-lagsanstalt K.G., 1949, str. 136 i mapki). Już sama jej okładka ma charakter jaskrawo propagandowy; przypomina broszurki przedwojenne na temat „blutende Grenze”: pierwsza

strona okładki przedstawia mapę granicznych obszarów polsko-niemieckich, przy czym ziemie między starą a nową granicą utrzymane są w kolorze krwisto-czerwonym, na ogólnym tle czarnym.

Książka podzielona jest na trzy rozdziały: historyczny (autor Gerhard Wolfrum), gospodarczy (prof. Peter-Heinz Seraphim, poprzednio profesor w Królewcu), oraz prawniczy (prof. Reinhart Maurach). Autorzy rewindykują na rzecz Niemiec całość Ziem Odzyskanych, Gdańsk, Pomorze nadwiślańskie i cały Śląsk. — Iaskawie tylko nie wspominają o Poznańskim. Domagają się również powrotu do Niemiec północnej części Prus Wschodnich z Królewcem, zabranej w r. 1945 przez Rosję, oraz Kłajpedy.

W doborze argumentów nie zenują się przy tym sięgać ani do „odkryć” dawnych szowinistycznych profesorów i landratów pruskich, ani nawet do kuźni propagandowej Goebbelsa. Jakże znajome są chwyt tego rodzaju, jak: pragermańskie osiedlenie tych ziem, „dobroczylna” działalność Zakonu Krzyżackiego jako reprezentanta całego zachodniego chrześcijaństwa, osobna narodowość kaszubska, czy nawet śląska, tolerancyjne traktowanie mniejszości polskiej w Niemczech w okresie po r. 1920 itd. itd. Na str. 43 znajdujemy bardzo ogólnikowe potępienie „polityki” hitlerowskiej wobec Polaków w czasie wojny, zaraz potem stuszowanie takim zdaniem.

„Dla wyjaśnienia, choć nie dla usprawiedliwienia tej polityki należy podkreślić w imię prawdy historycznej, że — jak to udało się dokładnie stwierdzić — ze strony polskiej wymordowanych zostało w początkach wojny 12.500 cywilnych Niemców, obywateli polskich”.

P. Wolfruma można by zapytać, ktoż to mianowicie „stwierdzał” te rzeczy? Cyfra 12.500 zamordowanych Niemców jest również zmyślona jak podawana przez propagandę hitlerowską, a dementowana przez P. Wolfruma cyfra 60.000 rzekomych ofiar „polskiego bestialstwa”. Nam wiadomo tylko o pewnej liczbie rozstrzelanych szpiegów niemieckich oraz o stłumieniu ruchawki, zorganizowanej przez dywersantów hitlerowskich (po części przeszmuglowanych wraz z bronią przez granicę) w Bydgoszczy i okolicach, — wiadomo też o straszliwych masakrach ludności polskiej, jakie Niemcy urządzili na ziemiach zachodnich zaraz po swym wkroczeniu.

CHORA PSYCHIKA NIEMIECKA

Charakter i metody propagandy rewizjonistycznej, której wyrazem jest omówione wyżej opracowanie, świadczą, że psychika niemiecka nadal niezdolna jest wyjść poza swe dawne instynkty i urazy, — że w szczególności niezdolna jest do uznania praw innych narodów do życia i pewnych wynikających stąd konsekwencji. Autorzy książki „Ostwaerts der Oder und Neisse” piszą w taki

sposób, jakby z faktu bezmiernych krzywd i spustoszeń, wyrządzonych przez Niemców Polsce w czasie drugiej wojny światowej, nie wynikały dla narodu niemieckiego żadne moralne ani praktyczne konsekwencje. A przecież była to pierwsza chyba w dziejach Europy próba zamordowania jednego z jej historycznych narodów przez drugi. Nikt zaś nie może twierdzić, by hitlerizm, który tę próbę podjął, był jakimś izolowanym fenomenem, jakąś interwencją sił zewnętrznych czy nadprzyrodzonych; był on wykładnikiem prądów, nurtujących naród niemiecki, i cieszył się tego narodu niemal powszechnym poparciem aż do chwili militarnego pogromu Niemiec. Nie znaczy to oczywiście, by odpowiedzialność spoczywała na każdej jednostce wchodzącej w skład społeczeństwa niemieckiego — niemniej społeczeństwo to jako całość musi się pogodzić z faktem, że winne jest narodowi polskiemu za doświadczenie i naprawę szkód.

Niestety nie widzimy w Niemczech tego poczucia, odzywa natomiast w spotęgowanej jeszcze formie dawna histeria i nienawiść. W czasopiśmie, głoszącym hasła europejskiej solidarności i noszącym piękną nazwę „Europa-Kurier“ (drukowanym w Akwizgranie) znajdujemy w numerze z dn. 8 lipca artykuł pt. „Genau das Konzept des Herrn Benesch!“, z furją rzucający się na ideę związku narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Autor artykułu, Niemiec sudecki, ideę tę określa jako „europejski plan Morgenthau“, którego celem jest „okrażenie Niemiec“ i „okaleczenie centrum Europy“. Do głowy mu nawet nie przyjdzie uznać prawo słabszych narodów do łączenia się w związki obronne celem przeciwstawienia się zabiorczyemu zapędowi ich wielkich sąsiadów. Przeciwnie, ów „Sudeten-deutscher“ ostrzega Czechów by nie łudził się, że dawna ludność niemiecka Kraju Sudeckiego będzie mogła być na stałe stamtąd usunięta. „Ostrzegamy — pisze — publicystę czeskiego przed takim megalomańskim złudzeniem!“

Tak wygląda koncepcja „jedności europejskiej“ w piśmie niemieckim, idei tej jakoby poświęconym.

„REALIZM“

W krakowskim „Tygodniku Powszechnym“ z dn. 24 lipca rb. ukazał się artykuł Pawła Jasienicy pt. „Mistrz i uczniowie“; autor biorąc za punkt wyjścia książkę J. Giertycha „Pół wieku polskiej polityki“ omawia zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich i atakuje stanowisko Stronnictwa Narodowego w tej sprawie.

Teza artykułu jest co najmniej zdumiewająca. Jasienica sprowadza cały problem polsko-rosyjski do kwestji terytorialnej, sugerując, że z Rosją — oczywiście sowiecką, bo mowa jest o roku 1919 i okresie późniejszym — doszlibyśmy do trwałego porozumienia, gdybyśmy od razu zrezygnowali z ziem „na wschód od Bugu“. Niestety — pisze Jasienica — Dmowski, który poprzednio dał rozsądną koncepcję

wsrólzycia z Rosją, w r. 1919 wysunął swą znaną „linię“, rewindykującą na rzecz Polski część jej dawnych ziem wschodnich. A i później Stronnictwo Narodowe nie poszło na oddawanie Sowiecom obszarów, przyznanych Polsce przez traktat ryski. To właśnie — zdaniem autora artykułu — uniemożliwiło i uniemożliwiać będzie w przyszłości wszelkie porozumienie i konieczną dla nas współpracę z Rosją.

Przyzwycailiśmy się do osobliwych nieraz enuncjacji, wychodzących spod pióra nielicznych już dziś w Polsce publicystów niekomunistycznych — i wiele z nich przypisać musimy specyficznym warunkom obecnej krajowej rzeczywistości. Niemniej w tym wypadku wszelkie granice jako tako choćby logicznego rozumowania, a nawet zdrowego sensu, zostały wyraźnie przekroczone. Nie tylko dla Polaków, lecz nawet dla najbardziej naiwnych czy uprzedzonych polityków i publicystów na Zachodzie stało się już jasne, że zarówno w latach 1919-20, jak później w latach 1939-41 i znów od roku 1945 poczawszy zagadnienie polskich ziem wschodnich odgrywało rolę zupełnie drugorzędną w polityce obecnych władców Kremla: celem tej polityki było i jest wchłonięcie Polski wraz z krajami sąsiednimi przez system sowiecki i możliwe szybkie ich zasymilowanie ustrojowe, gospodarcze i kulturalne. Ceną „porozumienia“ dla nas mają być nie ziemie wschodnie, ale zupełna zagłada tysiącletniej chrześcijańskiej cywilizacji polskiej — w istocie zagłada narodu polskiego jako historycznie ukształtowanej indywidualności. Sowiecki „melting pot“ czynny jest dzisiaj na całym obszarze od Tallina po Sofię i Tiranę, przy czym agencja lub mężowie zaufania Moskwy, rządzący krajami Europy środkowo-wschodniej, nie tają już wcale, że cały ustrój i życie tych krajów mają być w ciągu krótkiego czasu ukształtowane na modłę sowiecką. Równocześnie niszczy się torturami, mordem i oszczerczą propagandą wszystkie czynniki, które procesowi temu w jakiegokolwiek formie — czynnie czy choćby tylko biernie przez sam fakt swego istnienia — się przeciwstawiają.

Robota ta doszła szczytów ohydy w przemówieniu „prokuratora“ Zarako-Zarakowskiego na zakończenie procesu Doboszyńskiego — kiedy nazwał on polski obóz narodowy i przywódców ruchu podziemnego w czasie ostatniej wojny zbiorowiskiem agentów niemieckich.

POLSKA I ROSJA

Pomińmy tu różne złośliwostki autora artykułu w „Tygodniku Powszechnym“: np. jego powoływanie się na przedwojenne wypowiedzi pomniejszych działaczy lokalnych, występujących wyłącznie w własnym imieniu. Rzecz jest w tym, że cała zasadnicza teza jego artykułu jest niesłuszna i nie ma nic wspólnego z prawdziwym realizmem politycznym. Z Rosją w jej obecnej fazie do porozumienia nie dojdziemy, choćbyśmy jej oddali ziemie nasze nawet po linię Wisły, gdyż zawsze będzie chciała mieć wszystko. Gdy-

by natomiast w przyszłości Rosja rządzona była przez ludzi gotowych uznać prawa Polski do pełnej niepodległości, kwestia naszych ziem wschodnich powinna od razu utracić tę ostrość, jaką jej się z różnych stron teraz przypisuje. Nie jest zgoła prawdą, jakoby ziemie te były Rosji niezbędne, czy nawet w ogóle potrzebne — wartość zaś ich dla Polski i „praetium affectionis“, jakie dla każdego Polaka posiadają Lwów i Wilno, Nowogródek i Krzemieniec, nie może być przez nikogo poważnie kwestionowana. I dlatego przywrócenie Polsce ziem wschodnich nie musi zgoła stanowić trwałego kamienia obrazy w ustosunkowaniu się przyszłej Rosji do państwa polskiego, jeśli istotnie będzie jej zależało na dobrych z Polską stosunkach.

Rozumiemy dobrze niezmiernie ciężką sytuację, w jakiej dziś się znajdują ludzie piszący w kraju, dalecy też jesteśmy od ferowania pochopnych sądów potępiających. Jednak twierdzenia wypowiadane przez p. Jasienicę w omawianym artykule, są tak absurdalne i szkodliwe — biorąc zwłaszcza pod uwagę fakt pojawienia się ich w piśmie, które uchodzi dotąd w opinii krajowej za ostatnią redutę niezależnego słowa — że nie podobna ich było zostawić bez reakcji.

DEKRET PRZEŚLADOWCZY

Prześladowanie Kościoła w Polsce przybiera kształty coraz bardziej wyrafinowane. W odpowiedzi na dekret sw. Oficjum o ekskomunice dobrowornie współpracujących z komunistami, komuniści wydali dekret pod obłudnym hasłem obrony wolności religii. Najistotniejsze postanowienie tego dekretu mówi, że przestępstwem jest niedopuszczanie kogokolwiek do udziału w praktykach religijnych z powodów politycznych. Oznacza to, że każdy ksiądz, który w myśl dekretu papieskiego odmówi rozgrzeszenia komuniście, odmówi mu ślubu kościelnego, ostatniego namaszczenia lub przystąpienia do komunii, może być skazany na wieloletnie więzienie. Otwiera się tu nieograniczone niemal pole dla prowokacji i każdy kapłan w codziennym pełnieniu czyśto religijnych posług jest narażony na prześladowanie.

Przy okazji tej walki po raz pierwszy zmuszono grupę tzw. katolików społecznych, zwanych popularnie „reżymiskimi“ do jawnego wystąpienia przeciw Stolicy Apostolskiej. W oświadczeniu tej grupy powiedziano, że „wszystko, co się jedności pracującego narodu sprzeciwia, jest złe dla interesów polskich i katolickich narazem“, dalej zaś oświadczone: „Nikt nam nie wytłumaczy, że krytyka politycznych skutków oświadczenia Kurii Rzymskiej jest w jakiegokolwiek sposób naruszeniem obowiązującego wszystkich katolików posłuszeństwa wobec Papieża jako Kapłana, zastępującego Chrystusa na Ziemi“. Wątpliwe rozróżnienie między „politycznymi skutkami“ a ściśle religijnym charakterem dekretu w sprawach wiary jest ostatnią cienką i krętą linią, która dzieli tę grupę od znalezienia się poza obrębem Kościoła.

Pewnym sprawdzianem reakcji masy polskiej na zagrożenie religii jest sprawa lubelska. Sprawa ta bynajmniej nie skończyła się z chwilą wydania w dniu 3 sierpnia przez biskupa lubelskiego odezwy do wiernych stwierdzającej, że dotychczasowe wyniki badań komisji nie dają podstaw do uznania zjawisk w katedrze za nadprzyrodzone. Widocznie nie poskutkowało to, bo wkrótce później sufragan lubelski ogłosił w prasie wezwania do wiernych, by nie przybywali tłumnie do Lublina. W wezwaniu tym znajduje się charakterystyczny zwrot, że odezwa biskupa nie wszędzie dotarła „ze względów zrozumiałych”. Jaki był przebieg wydarzeń i jakie mu towarzyszyły nastroje, na to rzuciła ciekawie światło relacja wydrukowana w sztokholmskich „Wiadomościach”.

„Mieliśmy okazję — pisze sztokholmski tygodnik — rozmawiać z cudzoziemką, która w towarzystwie paru innych zagranicznych dziennikarzy udała się do Lublina i była obecna w katedrze. Dziennikarze stanęli zaledwie pół metra od obrazu. Miało to miejsce w niedzielę przed trzema tygodniami. Obraz jest kopią Matki Boskiej Częstochowskiej i wisi bezpośrednio na bocznych murze katedry — a nie w ołtarzu. Katedrę napelniali tłumy ludzi — przy głównym ołtarzu odprawiała się msza św. Kościół był jasno oświetlony nie tylko świecami lecz i elektrycznymi lampami. Cudzoziemka podkreśla, że stała tuż pod obrazem.

I nagle z tłumu padł jeden, drugi okrzyk: „Teraz, teraz!”.

Istotnie na policzku Matki Boskiej od oka ku dołowi twarzy ukazała się wyraźnie czerwona smuga podobna do łzy spływającej z oka.

Tłum w katedrze runął na kolana, wołając błagalnie: „Wróć nam wolność, wróć nam wolność!”.

Wrażenie jakie to wywarło na dziennikarzach było wstrząsające — stwierdza nasza rozmówczyni. Ten krzyk błagalny „Wróć nam wolność” więcej mówi o Polsce dzisiejszej, niż całe tomy opisów.

Dziennikarze opuścili katedrę, przed którą gromadziły się tłumy wiernych nie mogących znaleźć miejsca wewnątrz. Grupa młodzieży komunistycznej próbowała urządzić demonstrację. Tłum rzucał się z kijami na komunistów, rozpędzając komсомоłców. Przybyła policja i straż pożarna rozpędzając sikawkami wiernych”.

Pod koniec sierpnia Prymas wydeklarował pasterski, wskazujący na coraz gorsze położenie Kościoła w Polsce i wzywający wiernych do męstwa i czujności.

ZJAZD ZPUW W PARYŻU

Po trzyletniej blisko przerwie odbył się wrzesień drugi zjazd Związku Polskiego Uchodźstwa Wojennego w Paryżu. Wina ustępujących władz wybranych na pierwszym zjeździe wątpliwa, bo częściej o mianowanych a nie wybranych delegatów złożoną, większością, agłównie ustępującego prezesa p. Zygmunta Rusinka, w opo-

zniu zjazdu i zaniku niemal wszelkiej działalności Związku była widoczna.

Już sam skład zjazdu tegorocznego wskazywał na zmiany i zasile w układzie emigracji wojennej. Delegatów było o jedną trzecią mniej, z Niemiec, które liczbowo gorowały nad innymi krajami, przyjechało obecnie zaledwie kilku. Zniknęły mundury i zawodowi dyplomaci. Zniknęła także atmosfera wiecu. Obrady były o wiele bardziej rzeczowe i zwięźlejsze.

Rozsiedlenie Polaków w świecie zmieniło się w ciągu tych trzech lat zasadniczo. Z czteremilionowej masy polskiej w Niemczech do końca roku pozostanie zaledwie kilkadziesiąt tysięcy, opuszcza ten teren ogromna większość działaczy społecznych. Polacy w Brytanii ustabilizowali się jako największe skupisko emigracji wojennej. Bardzo silnie wzrosły skupienia zamorskie, wchłaniając większość emigrantów z Niemiec, Austrii i Włoch, Stany Zjednoczone, Argentyna, Australia, Kanada stają się krajami dużych ośrodków polskich.

Krytyka ustępujących władz nie mogła wypełnić obrad zjazdu, bo nie było właściwie przedmiotu krytyki, ponieważ nie było prawie żadnej działalności z wyjątkiem utrzymania personelu biura i podróży politycznych prezesa. Trzeba było natomiast coś zrobić ze spadkiem w postaci długów, zaciągniętych przeważnie nieformalnie i bez należytego upoważnienia. Zjazd, nie chcąc dawać widowiska zewnętrznego powierzył rozpatrzenie tych spraw wybranemu gronu seniorów. Ustępujący prezes podjął pewne zobowiązania, po których seniorzy przedstawili zjazdowi wniosek o udzielenie ustępującemu Komitetowi Wykonawczemu absolutorium. W głosowaniu pewna część delegatów wstrzymała się od głosowania.

Poza potwierdzeniem dotychczasowego stanowiska ideowego zjazd miał do rozstrzygnięcia dwie sprawy zasadnicze dla przyszłości, tj. sprawę stosunku do Światowego Związku Polaków w Zagranicy i sprawę wyboru nowych władz oraz dania im odpowiednich dyrektyw. Tendencją kół, które nie bez racji nazywamy sanacyjnymi, było jak najszybsze, bodaj natychmiastowe połączenie ZPUW ze Światopolem. Jednakże emigracja wojenna ma inny, polityczny charakter i wszyciem przed trzema laty były za powołaniem przez nią odrębnej organizacji społecznej. Połączenie jest rzeczą pożyteczną, jeżeli przez to nie osłabi się charakter i znaczenie uchodźstwa wojennego. Dlatego musi być robione rozważnie i solidnie. Takie też okazało się stanowisko zjazdu, który nfe uchwalil zjednoczenia od razu, lecz rozszerzył kompetencje komisji porozumiewawczej między ZPUW a SZPZ.

Wybór nowych władz był problemem politycznym. Ustępujący prezes wykorzystał swe stanowisko by, bez porozumienia z władzami Związku, zostać ministrem „emigracji” w rządzie Tomaszewskiego. Sanacja twierdziła, że partie się przeżyły, że nie mają oparcia na emigracji, że przeciwnie rząd Tomaszewskiego ma oparcie organizacji społecznych. Wprawdzie wszystkie najważniejsze organizacje społeczne od-

mówiły wystania swych przedstawicieli do Rady Narodowej Modrzewskiego, ale pozostawał argument organizacji centralnej i jej prezesa, „ministra emigracji”. Zjazd paryski nie mógł nie dać odpowiedzi na pytanie, kto ma oparcie w centralnej organizacji społecznej uchodźstwa.

W ustępującym Komitecie Wykonawczym decydujący głos mieli przedstawiciele organizacji sanacyjnych: Ligi Niepodległości i SŁ Wolność. Nie było w nim wcale narodowców, którzy też jedyni nie ponoszą najmniejszej odpowiedzialności za wybór p. Rusinka i za trzecie jego błędów i zmarnowanych możliwości, ani też za jego gospodarkę. Zjazd paryski wybrał Komitet Wykonawczy złożony z przedstawicieli wszystkich kierunków politycznych, w większości stronnictw zwalczających sanację i rząd Tomaszewskiego i Rusinka. Na piętnastu członków Komitetu znalazł się w nim jeden członek SŁ Wolność i jeden sympatyk Ligi Niepodległości, natomiast trzech narodowców, trzech socjalistów, trzech narodowców i trzech działaczy społecznych nie należących do żadnego ze stronnictw. Prezesem wybrano prezesa Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii inż. Różańskiego.

Siedzibą władz na razie pozostaje nadal Paryż. Przybywa tam stale pięciu członków Komitetu (w Anglii siedmiu, w Niemczech trzech), szósty ma przytyć niedługo wiceprezes Witold Olszewski z Niemiec. Nowe władze rozpocząć musiały od dramatycznych oszczędności i od ułożenia planu pracy od nowa.

Komitet Wykonawczy ZPUW stał się reprezentacją społeczną pełnego wachlarza polskiego uchodźstwa wojennego. Sanacyjna legenda, odgrzebaną z czasów BBWR, o braku oparcia społecznego stronnictw i przeciwstawianie organizacji społecznych politycznym ujawniły swe bankructwo w sposób ostateczny. Na kim opierają się pp. Rusinek i Tomaszewski oprócz na woli paru jednostek?

AKADEMIE...

Już przed wojną chorobą polską była mania akademii. Duża część działalności organizacji społecznych wyławowywała się w przygotowywaniu różnego rodzaju obchodów. Młodzież szkolna prowadzona była po kilkanaście razy na rok na uroczystości, które nieodmiennie miały charakter najbardziej powierzchowny i wodnisty, to znaczy charakter tzw. akademii. Co parę tygodni były jakieś rocznice, imieniny państwowe lub „dni”. I zawsze ten sam przebieg: przemówienie okolicznościowe, deklamacja, śpiew. W porównaniu z ubóstwem zebrań dyskusyjnych, odczytów czy pokazów, bogactwo „akademii” było w Polsce nieprawdopodobne.

Czy wytłumaczenia tego szukać w rozpowszechnionej wśród Polaków władze lenistwa umysłowego połączonego z uczuciowością, czy w wielowiekowej tradycji odpustu jako jedynie popularnego zgromadzenia

czy w upadku życia publicznego w okresie rozbiorowym, dość, że akademie stanowią istną plagę.

Na emigracji ścierają się dwa wpływy: doświadczenia płynące z przeżyć wojennych i poznania świata przez szerokie rzesze, oraz tęsknoty za ojczyzną wyrażającej się w zachowywaniu obyczaju przedwojennego polskiego. Ten drugi, jakże zrozumiały i w zasadzie zdrowy prąd, niesie z sobą obok trwałych i potrzebnych form kulturowania tradycji narodowych także nałogi niepotrzebne i nie budujące. Do takich należy mania akademii. Prawda, że na emigracji potrzebne jest zbieranie się jak najczęstsze Polaków, odświeżanie ich uczuć patriotycznych. Ale ileż do tego

może służyć form głębszych i sensowniejszych! Tym bardziej, że akademie nasze odbywają się przeważnie w Londynie z niezmiennie tą samą publicznością w pierwszym rzędzie, że aż dziwić się trzeba mówcom, iż nie myślą się czasem w temacie i rocznicy.

Również i młodzież polską w ten sposób chroni się przed wynarodowieniem, że urządzi się dla niej, czy to w mieście czy na koloniach wakacyjnych, ustawiczne akademie. Dochodzi do tego, że biedne dzieci nie znają już innego słowa polskiego na określenie zebrania jak „akademia” i tak zaczynają nazywać każde swoje małe zebranie.

W ciągu jednego miesiąca mieliśmy

ostatnio w Londynie pięć uroczystych akademii rocznicowych: piąta rocznica powstania warszawskiego, trzynasta piąta rocznica wymarszu kadrowki, dwudziesta dziewiąta rocznica bitwy warszawskiej, piąta rocznica bitwy pod Falaise, dziesiąta rocznica wybuchu drugiej wojny światowej (wszystko oczywiście rocznice bitew, heroiczne i o których niewiele nowego i mądrego można powiedzieć w ciągu kilkunastominutowego przemówienia).

Umówmy się: róbmy zjazdy koleżeńskie, zebrania dyskusyjne, wieczory literackie, zgromadzenia polityczne, odczyty naukowe, kursy, koncerty, ale nie róbmy akademii „ku czci”, „z okazji” i „w rocznicę”.

Z. ABDANK

OD WASZYNGTONA DO TRUMANA

NECIERPLIWOŚĆ z jaką Europejczycy — a zwłaszcza tak ciężko przez historię doświadczeni Polacy — odnoszą się do kształtowania decyzji politycznych Stanów Zjednoczonych, jest równie niezrozumiała jak nieuzasadniona.

W kłębówisku europejskim wzloty i upadki następują po sobie o wiele szybciej niż w życiu międzyoceanicznych obszarów, ale za to zasięg ich jest ilościowo i przestrzennie bez porównania skromniejszy. Organizmy potrzebne, do wielkich zamierzeń przeznaczone, uświadomić sobie nie mogą tak szybko swych rozległych możliwości i obowiązków jak narody, których byt lub niebyt zawarty jest w sporach granicznych z sąsiadami uwikłanymi w też same trudności.

Takich sąsiadów USA nie posiada. Patrząc one na Kanadę i Meksyk z podobnym uczuciem bezpieczeństwa jak narody europejskie na swe granice morskie, śledzą natomiast z uwagą co dzieje się na oceanach — na Atlantyku i Pacyfiku — podobnie jak w Europie niepokoją przemiany u sąsiada. Jeśli weźmiemy pod uwagę domynującą przewagę USA (równych obszarem geograficznym Europie) nad kontynentem panamerykańskim, położonym w centrum oceanów otaczających masę lądową Azji, Europy i Afryki, wyda się jasne, że innymi od naszych drogami i do innych celów zmierzać musiały i zmierza myśl polityczna Stanów Zjednoczonych. Dlatego strzec się musimy — zwłaszcza nasze pokolenie, przed którego oczyma przesunęły się widma dwóch zaborów i dwóch wojen światowych, przerwanych zakwitłym w dwudziestolecie życiem niepodległego państwa — przed nieuzasadnioną natarczywością z jaką domagamy się od polityki amerykańskiej rozstrzygnięć, których wagi i skutków, z perspektywy Karpat i Bałtyku, objąć żadną miarą nie można.

Przeciwnie! Znacząc z przeszłości podstawy i warunki tworzenia imperiów z niepokojem patrzeć musimy na zawrotne tempo z jakim potomkowie Waszyngtona, w ciągu lat stu kilkudziesięciu doszli do poczucia odpowiedzialności za losy świata, a z

podziwem na odwagę ogłoszenia jego jedności. Jakże daleko jesteśmy od epoki Imperium Romanum, obejmującego zaledwie świat śródziemnomorski i separującego się od barbarzyńców! Jakże skromne wyda się państwo Karola Wielkiego, największe osiągnięcie naszego kontynentu, wobec rzeczywistości wspólnoty atlantyckiej i wizji przenikania wszystkich kontynentów cywilizacją, która acz „zmodernizowana” z naszego Rzymu wzięła początek!

Powiedzmy bowiem od razu, że tak zwany imperializm amerykański zakotwiczony jest głęboko w samej cywilizacji amerykańskiej, uważającej „American way of life” za najlepszy w świecie i głoszący wyższość konstytucji z r. 1787 nad wszystkimi innymi statutami ludzkich zbiorowości. To przekonanie, pogłębiające się pod wpływem kataklizmów postronnych, pchnęło — mocniej niż potęgą gospodarczą — Amerykan na drogę imperialną, znaczoną takimi etapami, jak: Waszyngton — Monroe — Wilson — Roosevelt.

FUNDAMENTY POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Wskazania polityczne Waszyngtona, uważane przez długi czas za testament twórcy państwa, zawarte są w tych sławnych zdaniach: „Byłoby nierozsądne, byśmy się dali wciągnąć drogą sztucznych powiązań, w wiry polityki europejskiej bądź w niestałość przyjaźni i wrogości. Jedyną polityką, która może być naprawdę naszą, polega na kroczeniu własną drogą, wolną od jakiegokolwiek własnych powiązań z jakiegokolwiek częścią obcego świata”. Było to zatem przykazanie obojętności wobec zjawisk zewnętrznych, w przekonaniu, że izolacja USA jest dostatecznie ubezpieczona a — poza własnym rozwojem — innych bezpośrednich interesów kraj ten nie posiada. Nie upłynęło jednak lat trzydzięści, gdy prezydent Monroe stwierdzić musiał, że odosobnienie USA jest złudzeniem i że losy całego kontynentu amerykańskiego nie mogą być im obojętne. Stało się to pod wpływem buntu republik południowo-

amerykańskich przeciw panowaniu hiszpańskiemu oraz spowodowanej nim groźby interwencji mocarstw Świętego Przymierza. Ponadto Rosja, czującą wówczas Alaskę zgłosiła pretensje do Kalifornii i usiłowała blokować pacyficzne wybrzeże Ameryki. W historycznym orędziu do Kongresu z 2.12. 1823 r., Monroe tak sformułował politykę amerykańską: „Nigdy nie interweniowaliśmy w wojny mocarstw europejskich ani w sprawy tylko je obchodzące. Taka interwencja jest niezgodna z naszą polityką. Jedynie w wypadkach gdy prawa nasze są naruszone lub poważnie zagrożone, reagujemy i chwytamy się środków obronnych... zwyciężąc i przyjazne stosunki istniejące między USA a mocarstwami europejskimi zmuszają nas do oświadczenia, że uważalibyśmy wszelką próbę rozszerzenia ich systemu na jakiegokolwiek bądź część naszego kontynentu za niebezpieczną dla naszego pokoju i bezpieczeństwa... że amerykańskie kontynenty, na mocy wolnego i niezależnego stanu, który osiągnęły i utrzymują, nie mogą być odtąd uważane za przedmiot przyszłej kolonizacji przez jakiegokolwiek państwo europejskie. Jesteśmy bezpośrednio i z konieczności związani z wypadkami w tej półkuli. System polityczny sprzymierzonych mocarstw różni się istotnie od systemu amerykańskiego... Nasza polityka w stosunku do Europy pozostaje ta sama. Streszcza się ona do: unikania wszelkiej interwencji w sprawy wewnętrzne któregoś z tych państw, uważania za legalny każdego rządu istniejącego de facto, utrzymywania z nim stosunków przyjaznych i dążenia do ich utrwalenia drogą polityki odważnej, stanowczej i męskiej, zadośćuczynienia we wszystkich wypadkach, uzasadnionym życzeniom każdego mocarstwa, ale nie znoszenia obrazy od żadnego z nich”. Oto główne ustępy tego długiego orędzia.

Wynika z nich, że własną drogą we własnym kraju Waszyngtona, Amerykanie w następnym pokoleniu zastąpił szeregiem zasad, które w sumie stały się fundamentem polityki zagranicznej młodego narodu. Głosiły one: 1) Bezpośrednie zainteresowanie USA losem obu Ameryk nazwanych „tą

półkulą". 2) Ustalenie, że posiada ona swój system różny istotnie od europejskiego. 3) Wyłączenie obcej interwencji z owej półkuli w zamian za gotowość nie mieszania się w sprawy wewnętrzne europejskie. 4) Uznanie z góry wszelkich zmian polityczno-terytorialnych poza Amerykami, zawarte w oświadczeniu o uznawaniu rządów de facto za rządy legalne.

Dobrze jest wczytać się uważnie w te kanony, które do ostatnich czasów polityka amerykańska uważała za niekalkalne. Wszystkie układy zawarte przez USA po r. 1823, podpisywane były z zastrzeżeniem mocy wiążącej doktryny Monroe'go. Choć nie udało się (na szczęście dla USA) wprowadzić jej jako integralnego składnika prawa międzynarodowego, to jeszcze Wilson zastrzegł w artykule 21 Ligi Narodów jej dobrodziejstwa dla Stanów Zjednoczonych. Nie ma tu miejsca na wyliczanie wypadków, w których USA interweniowały czynnie w jej imię. Ulegała ona zresztą uzupełnieniom za czasów prezydentury Polka i Clevelanda, a Teodor Roosevelt w r. 1902 rozszerzył jej zastosowanie (tzw. zasada akcji prewencyjnej).

PIERWSZY WYŁOM

Padły jednak już w r. 1898 słowa rzucające nowe światło na ewolucję myśli politycznej Ameryki. Prezydent Mac Kinley, po zdobyciu od Hiszpanów Filipin oświadczył: „Bóg nałożył na Stany Zjednoczone obowiązek przyniesienia dobrodziejstw cywilizacji naprawdę chrześcijańskiej Filipinezykom, z których ustrój hiszpański zrobił ludzi oślepiających i zdegenerowanych“. Pretensje nie byle jakie! I politycznie i cywilizacyjnie.

Jeśli w kilkunastu wypadkach interwencji i ekspedycji USA na terenie obu Ameryk można było zasłonić się zasadą akcji prewencyjnej, to wyprawa na wody azjatyckie po Filipiny odległe o 7.300 mil od wybrzeży amerykańskich świadczyła o nowej treści polityki USA. Znalazła ona dobitny wyraz w zaangażowaniu się czynnym w pierwszą wojnę światową, w której Stany Zjednoczone zdecydowały nie tylko o jej wyniku, ale i ukształtowaniu polityczno-terytorialnym Europy.

INTERWENCJA POŚREDNIA

14 punktów Wilsona z 8.1.1918, dając niedwuznacznie wyraz samostanowieniu narodów europejskich (punkty 6, 7, 9, 10, 11 i 13) oraz autonomii dla ludów Bliskiego Wschodu (punkt 12) były przekreśleniem dotychczasowej zasady nieinterwencji w wewnętrzne sprawy europejskie. Były nie tylko dowodem zainteresowania Ameryki statutem polityczno-terytorialnym Europy i Bliskiego Wschodu, ale i strukturą wewnętrzną tych obszarów, boć Wilson wysunął hasło samostanowienia narodów jako program dla Europy, podobnie jak Mac Kinley dla Filipin hasło „cywilizacji prawdziwie chrześcijańskiej“.

Choć traktat wersalski nie został ratyfikowany przez Senat, stojący jeszcze na tradycyjnym stanowisku nie angażowania się w sprawy wewnętrzne, to jednak solidarność inte-

resów Waszyngtonu z jednym z mocarstw europejskich, a mianowicie z Wielką Brytanią, uznana została już wtedy za wiążącą. Stany Zjednoczone ograniczają się w okresie 1920-1932 w Europie do pośredniej interwencji, udzielając pożyczek, kontrolując i sarnując budżety (np. E. Kemmerer był doradcą finansowym aż 10 rządów!). Główne ich zainteresowania idą ku skonsolidowaniu pozycji USA w Ameryce.

Pierwsza konferencja panamerykańska w r. 1889 w Waszyngtonie zgromadziła 19 państw tego kontynentu, nie wyszła jednak poza zalecenia współpracy gospodarczej. Piąta z kolei, odbyta w Santiago w r. 1925, powołała się już mogła na istnienie „świadomości amerykańskiej“ a dziesiąta w Rio de Janeiro w r. 1942 rzuciła podstawy przyszłej unii celnej amerykańskiej. Ukoronowaniem hasła Monroe'go „Ameryka dla Amerykanów“ stał się dopiero układ w Chapultepec z r. 1945, w którym jedynomyślnie przyjęto ideę wzajemnej gwarancji integralności terytorialnej i niezależności politycznej wszystkich państw amerykańskich przeciw agresji skądkolwiek by pochodziła.

ROOSEVELT

Jeśli polityka panamerykańska USA do ostatnich czasów mieściła się w ramach pierwotnej doktryny i jeśli nawet — siłą czy podstępem — nabyte posiadłości wyspiarskie na Morzu Karaibskim czy Oceanie Spokojnym, dały się objąć pojęciem półkuli amerykańskiej, to doktryna ta, naciągnięta już przez Mac Kinleya i Wilsona, załamała się ostatecznie z chwilą objęcia władzy przez F.D. Roosevelta.

Statut Dalekiego Wschodu unormowany był od r. 1922 traktatem dziwieńciami mocarstw, gwarantującym „suwerenność, niezależność i integralność terytorialną Chin“ przy utrzymaniu zasady „drzwi otwartych“. Z tego ostatniego względu mówiono wtedy, że traktat ten sankcjonował politykę USA na Dalekim Wschodzie jako prawo międzynarodowe. Idąc po tej linii, Roosevelt, nazajutrz po objęciu władzy (7.1.1932) polecił sekretarzowi stanu, Stimsonowi poinformować rządy Chin i Japonii, że USA nie uznają żadnych zmian terytorialnych dokonanych w wyniku wojny. Noty powoływały się na pakt Kelloga i odmawiały uznania traktatów i umów doszycy do skutku wbrew jego postanowieniom. Ponieważ tzw. pakt Kelloga odrzucał wojnę jako narzędzie polityki narodowej i stawiał ją „poza prawem“, dopuszczając wojny tylko w wypadkach przewidzianych paktem Ligi Narodów a wpływowy anglosaskie w tej instytucji wyłączały „legalność“ wojny prowadzonej wbrew ich interesom, tzw. doktryna Stimsona sprowadzała się — w gruncie rzeczy — do odwołania tezy Monroe'go o nieinterwencji w sprawy obcych kontynentów, zastępując ją zasadą nienaruszalności istniejącego stanu rzeczy.

Gdy przygotowania wojenne Niemiec i Japonii weszły w stadium agresji, Roosevelt wygłosił słynną mowę

„kwarantannową“ w Chicagu 5.10.1937. Oświadczył w niej: „Niewinne narody i państwa poświęcane są okrutnie chciwej żądzy potęgi i przewagi nie liczącej się zgoda na sprawiedliwość. Jeśli rzeczy takie mogą się dziać w innych częściach świata, nikt nie powinien wyobrazić sobie, że Ameryka będzie oszczędzona i że może liczyć na wyrozumiałość, że ta półkula zachodnia nie będzie zaatakowana i że będzie mogła nadal prowadzić swe życie spokojne i ciche... Narody miłujące pokój winny się zjednoczyć przeciw tym pogwałceniom traktatów i tej pogardzie ludzkich instynktów, stwarzającej dzisiaj stan anarchii i niepewności międzynarodowej, od której nie uchroni ani izolacja ani neutralność... Gdy choroba zakaźna zaczyna się szerzyć epidemicznie, społeczeństwo musi się zjednoczyć dla osadzenia pacjentów w kwarantannie, celem uchronienia zbiorowości przed zakażeniem“.

Mowa ta zawiera dwa ważne stwierdzenia: 1) wspaniałości losu Stanów Zjednoczonych od losów jakiegokolwiek innej części świata i 2) gotowości USA do współdziałania z wszystkimi narodami „miłującymi pokój“ przeciw burzycielom ładu międzynarodowego. Wywołała ona niemalą burzę w opinii publicznej Amerykanów. Większość ich żyła jeszcze w zaczerpniętym kole izolacji od świata zewnętrznego, którego sprawy najężej przyjmowane obojętnością, nierządkiem po prostu mierzyli obywatele USA. Nic dziwnego, że Roosevelt walczyć musiał z niesłychaną energią a i mistrzostwem, nie tylko o zrozumienie tych prawd ale i o przygotowanie swych rodaków na dużo dalej idące decyzje i zmiany. Znałe są etapy jego walki z antyinterwencyjnym stanowiskiem opinii i Kongresu, ale zacytować tu warto incydent z r. 1939 w czasie obrad komisji Senatu. Roosevelt oświadczył, że bezpieczeństwo granicy Renu musi interesować Stany Zjednoczone, gdy zaś senator pewien zapytał, czy myśli on przez to, że granica amerykańska znajduje się na Renu, Prezydent odpowiedział: „Niezupełnie, ale w praktyce jeśli granica Renu jest zagrożona, to zagrożony jest cały świat“. W ten sposób już w r. 1939 szkiełowano w USA zachodnią granicę wspólnoty atlantyckiej.

Po rozpoczęciu ofensywy niemieckiej na Zachodzie, Prezydent wygłosił 16. 5. 1940 tzw. mowę geograficzną. Domagając się miliardowych kredytów na zbrojenia, powiedział: „Od fiordów Grenlandii do Nowej Funlandii jest tylko cztery godziny lotu a do Nowej Anglii sześć. Jest też tylko sześć godzin lotu z Azorów do Nowej Anglii. Gdyby Bermudy wpadły w ręce nieprzyjaciela, wystarcząłyby nowoczesnym bombowcom cztery godziny, by dolecieć do naszego brzegu. Z bazy w Antyllach osiągnąć można Florydę w 200 minut. Wyspy położone na zachodnim wybrzeżu Afryki oddalone są jedynie o 1.500 mil od Brazylii“. Tak zarysowawszy granice zewnętrzne półkuli zachodniej, Roosevelt rozszerzył w kwietniu 1941 r. pas patrolowy na Atlantyku z 300 na 1000 mil i ustanowił bazy w Grenlandii, w lipcu przetrzucił wojska do Islandii, uprzednio

już uzyskując 99-letnią dzierżawę baz wojskowych w Nowej Funlandii, Bermudach i Antyllach brytyjskich. Wiemy, że w trakcie wojny, Stany zainstalowały się wojskowo na Azorach, w Dakarze, Casablance nie mówiąc już o Bizercie i Trypolisie, i posiadają swe bazy w samej Wielkiej Brytanii. W ten sposób Atlantyk stał się morzem amerykańskim a na jego wschodnim (europejsko-afrykańskim) wybrzeżu, powstał szereg przyczółków mostowych, zapewniających flocie i lotnictwu amerykańskiemu decydującą przewagę w całym tym basenie.

SEKRET POLITYKI MARSHALL — TRUMAN

Choć w mniejszości, Roosevelt od początku nie był osobniony w widzeniu nowej ery i roli jaka w niej przypadnie USA.

W r. 1939 ukazała się książka Clarence K. Streit'a pt. „Union Now”, rzucająca projekt konfederacji obejmującej Stany, Wielką Brytanię wraz z dominiami, Francję, Belgię, Holandię, Szwajcarię, Danię, Norwegię, Szwecję i Finlandię. Książka ta, o której Wickham Steed powiedział, że otwiera nową epokę, głosiła, że tych piętnaście państw dzierży połowę świata, panuje nad oceanami i rządzi połową ludzkości. Między nimi a ich posiadłościami krąży 2/3 światowego obrotu handlowego. Dysponują one w praktyce całym złotem i bez mała całym bogactwem nagromadzonym w bankach świata. Kraje te zjednoczone utworzyłyby największą siłę wojskową globu. Zwracał też Streit uwagę na harmonijność cywilizacyjną tego obszaru.

Trzeba było zaledwie lat dziesięciu, by doznać się materializacji tej wielkiej idei! Tych dziesięć lat wypełnionych zostało potężną rewolucją myślową, która doprowadziła ten „Gods own country” do świadomości własnej potęgi imperialnych konsekwencji z niej wynikających. Rewolucja ta zarysowała się już na przełomie XIX i XX wieku, gdy Andrew Carnegie pisał, że jedynym możliwym wyjściem dla Anglii jest połączyć się z powrotem z „siostrą olbrzymką”, gdyż w przeciwnym razie pewną jest rzeczą, że Wielka Brytania zepchnięta zostanie na drugi plan, a T. W. Steed wydał w r. 1902 książkę pod wielomówiącym tytułem „Amerykanizacja świata”.

Nie zapominajmy, że działo się to w okresie rozkwitu imperium brytyjskiego i w czasie kiedy Cecil Rhodes pisał o „włączeniu definitywnym Stanów Zjednoczonych, które stać się winny częścią integralną Imperium”.

W przededniu drugiej wojny, Amerykanie mieli już wyraźne poczucie przewagi swej nad Wspólnotą Narodów, ale dopiero lata 1940-41 wykazały im rozmiary anemii brytyjskiej. W otoczeniu Roosevelta znaleźli się wówczas ludzie, którzy niedwuznacznie przygotowywać jeli opinię amerykańską na możliwość i konieczność przejęcia światowej roli Wielkiej Brytanii na swój rachunek.

H. Luce pisał w „Life” (17.2.1941): „Wrazie jakiegobądź związku z imperium brytyjskim, Wielka Brytania gotowa jest całkowicie pozwolić odgrywać

WACŁAW IWANIUK

MAŁE MARZENIE

O tym, że będę żył spokojnie w Europie
przebierając palcami złotych pszczoł dobrobyt,
że będę w Zoo zwiedzał garbate wielbłądy
i w niebo leciał po szynach;
o tym, że mogę w rzekę patrzeć i liczyć gwiazdy,
marząc o morskich ukwiałach,
które są piękniejsze od róż —
a róże zrywać o czerwonym świecie,
by się śmiały mokrym zapachem
do moich oczu — marzyłem!
O tym marzyłem idąc z Zoo.

USA rolę „senior partner”. Ta sprawa przyjęta jest od dawna! Anglii, których opinie się liczą, stałe ubolewali, że Ameryka od dawna już nie uchwyciła możliwości przejęcia kierownictwa świata”. Powoływał się przy tym na artykuł „The Economist”, w którym autor stwierdzał, że punkt ciężkości świata przeniósł się do Ameryki, do której w coraz wyższym stopniu należy pobieranie decyzji zasadniczych. „Nie możemy zatrzymać tej ewolucji” kończył melancholijnie „Economist” w r. 1941.

„Current History” (czerwiec 1941) informowało: „To co było dotąd ośrodkiem porządku międzynarodowego w Europie, wali się. Żaden naród kontynentu ani jego sąsiedztwa nie jest w stanie podjąć się kierownictwa nowego i stałego porządku rzeczy. Ta niezdolność Europy zmusi Amerykę, bądź do podjęcia się tego przewodnictwa bądź do pogodzenia się z ciemnościami nowego średniowiecza na okres nieograniczony... Jedynym pokojem, który może nas interesować jest pax americana dokładnie w tym sensie jak istniały niegdyś pax romana i pax britannica”. Zbliżoną wizję miał i Wilson, mówiąc w r. 1916 w Kongresie: „Naszim zadaniem jest wziąć w przeważającej mierze na barki finansowanie świata. Ale ten kto finansuje świat, musi go też znać i jest powołany do panowania nad nim swym duchem i swymi zasadami”. Wilson mówił ostrożnie o duchu i zasadach („american way of life?”), politycy doby Roosevelta mówią już o pax americana. Mówią też i o tym co w siedem lat później stanie się programem działania. „Fortune” (maj 1941) pisało: „Stany Zjednoczone są wierzycielom otoczonym dłużnikami. Jeśli wszyscy dłużnicy załamią się, cały nasz system a my z nim razem, musi się załamać. Dlatego w pierwszym rzędzie myśleć musimy o energicznym popaciu naszych dłużników”. W trzy miesiące potem (sierpień 1941) to samo pismo stwierdzało: „Gdyby złoto amerykańskie połączyć z koloniami brytyjskimi, ujrzelibyśmy wyklawanie się nowej ery. Celem politycznym tej unii byłoby podniesienie poziomu życia i wzmoczenie zdolności nabywczej, co pociągnęłoby za sobą kolosalne rozszerzenie rynków nowego, wspólnego obszaru”. Autor konkluduje twierdzeniem, że USA nie mogą tak długo pomagać w uprzemysłowieniu swych sąsiadów, jak długo

każdy z nich żyje w oddzielnym obszarze państwowym.

„Life” i „Fortune” zbliżone są do wielkiej finansjery nowojorskiej, co nie przeszkadzało ich redaktorowi H. Luce należeć do otoczenia Roosevelta. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że właśnie płaszczyzna polityki imperialnej stała się pomostem, na którym spotkali się wrogowie i zwolennicy New Deal i że pomost ten — z czasem — stał się podstawą wspólnej polityki zagranicznej obu tradycyjnych partii amerykańskich.

DOKTRYNA IMPERIALNA

W cytowanych ustępach mieści się w załączku cały sekret polityki Marshall — Truman, zawarte jest w nich podłoże i planu Marshalla i słynnego punktu czwartego programu Trumana z 20.1.1949. Rozważania te stały się punktem wyjścia doktryny imperialnej w pełnym znaczeniu tego słowa. Sformułował je tenże Luce w książce „The American Century” mówiąc: „Mielismy w r. 1919 złotą okazję, jedyną w historii, by postawić się na czele świata. Nie zrozumielismy jej i odrzuciliśmy ją. Ale Rooseweltowi udało się to, co nie udało się Wilsonowi. Po raz pierwszy w historii nasz dwumiliardowy świat tworzy nierozwiązalną całość. Ten świat XX wieku, jeśli chce żyć zdrowy i silny, stać się musi w jak najszerszej mierze, wiekiem Ameryki. Wiek XIX był wiekiem Anglików. Oto nadchodzi era amerykańska”. By cel ten osiągnąć „Amerykanie i ich przyjaciele muszą czuwać, by okręty ich i samoloty dalekiego zasięgu mogły zawsze iść dokąd chcą, kiedy chcą i jak chcą”.

Oczywiście zauważyć tu można, że deklaracje te, nie zresztą z punktu widzenia jasności do życzenia nie pozostawiające, nie obowiązują polityki amerykańskiej, jako pochodzące od osób prywatnych. Toteż gdyby później nie zostały realizowane a w ostroźniejszej oczywiście i mniej brutalnej formie, powtórzone przez czynniki oficjalne, nie byłoby tu na nie miejsca. Ale przeciw w kilka lat potem Prezydent Stanów Zjednoczonych powiedział: „Obecnie, podobnie jak w r. 1920, osiągnęliśmy zwrotny punkt w historii. Gospodarki państwowe zostały przez wojnę zgruchotane. Przyszłość wszędzie jest niepewna. Polityka gospodarcza chwieje się. W tej atmosferze zwątpienia i wahania

decydującym czynnikiem będzie sposób w jaki Stany Zjednoczone przejmą kierownictwo świata... Jesteśmy olbrzymem gospodarki światowej... Nasza polityka zagraniczna — gospodarcza i polityczna — są nierozdzielne". Oto wyjątki z mowy Trumana w Baylor-University z 6.3.1947. W kilka dni później (13.3.1947) Prezydent, przemawiając w Kongresie, uzupełnił ten program: „Narodom całego szeregu krajów świata narzucano, wbrew ich woli — ustroje totalitarne... Świat nie jest statyczny a status quo nie jest święty... Byłoby niewystawioną tragedią, gdyby kraje te, które tak długo walczyły przeciw przemożnemu wrogowi, miały zostać w końcu pozbawione owoców zwycięstwa, dla którego tak wiele ofiarowały. Załamanie się wolnych ustrojów i utrata niepodległości, miałyby katastrofalne następstwa nie tylko dla nich ale dla całego świata... Jestem zdania, że pomaganie wolnym narodom, stawianie oporu próbom ujarzmiania dokonywanym przez uzbrojoną mniejszość lub nacisk zagraniczny musi być polityką Stanów Zjednoczonych". Sekretarz stanu Marshall dodał 19.3.1947 w Berkeley: „Siła naszej kierowniczej pozycji u-poważnia nas do wkroczenia w sposób decydujący w wypadki. Nie możemy zejść im z drogi bezczynnością. Tak czyniąc, znaczyłoby zrezygnować z pozycji kierowniczej i pogodzić się z rolą wtórną, co — niewątpliwie — pozbawiłoby nas wolności i sprawiedliwości, któreśmy zawsze tak wysoko stawiali. Sytuacja krytyczna nie ogranicza się do Europy. Niemniej poważne jest położenie Środkowego Wschodu, Indonezji, Chin i Ameryki Łacińskiej”.

Prezydent Truman nie wahał się nawet odłożyć publicznie do archiwum nietykanej doktryny Monroe'ego. Na bankiecie partii demokratycznej w Waszyngtonie, w dniu 6. 4. 1947 oświadczył bowiem: „Ciężar naszej odpowiedzialności jest dzisiaj, wobec doniosłości naszych środków, większy niż za czasów Jeffersona i Monroe'ego... Gdy walka o prawa ludzkie trwa w innych częściach świata, wolny naród amerykański nie może pozostawać obojętny i oczekiwać biernie jej wyniku". Kropkę nad i pozostawił gen. Eisenhower (7.6.1947 w Kansas): „Bez Stanów Zjednoczonych cywilizacja — taka jaką znamy — zginie. Bez amerykańskiej pomocy, kierownictwa i prowadzenia istnieje niebezpieczeństwo socjalnego, politycznego i gospodarczego chaosu dla setek milionów ludzi". Wreszcie ostatnio, w Chicago 20.6.1949 Truman mówił już wyraźnie o ambicji przejęcia przez Stany Zjednoczone dawnej roli Rzymu. „Jest stanowczo niezbędne — powiedział — dla istnienia dostatecznej potęgi, która by mogła utrzymać pokój, byśmy objęli kierownictwo wśród demokracji świata. W ciągu 160 lat, USA stały się najsilniejszym mocarstwem kuli ziemskiej. Jest to prawie niewiarogodne. Rzym potrzebował lat 1000, by stać się mocarstwem. Przejęliśmy odpowiedzialność i ponosimy ją nadal. Przejmujemy ją w interesie dobrobytu świata”.

Dopiero na tle tych cytat, uwidacznia się nie tylko przepaść między polityką bezpieczeństwa Monroe'ego a polityką imperialną Trumana, ale i sama doktryna Trumana rysuje się wyraźniej. Nigdy jeszcze w historii roszczenia i cele imperialne nie zostały sprecyzowane równie głośno i równie wyraźnie!

Nie będziemy nużyć czytelnika dowodami, że dążenia do pax americana obejmują całą ziemię i żaden kontynent ani ocean nie jest w nich pominięty. Jedynie hierarchia celów i kolejność etapów pozostaje do ustalenia. Główne jej zarysy wytyczył Marshall, w uznaniu czego Prezydent USA już za życia — rzec w

HENRYK MIRZWIŃSKI

P O E T A

W każdym słowie nieprecyzyjnym,
kruchym
wyczuwam mozaikę znaczeń
mieniącą się ciągle inaczej,
gdy przymierzam dłueto,
szukając trafnej kombinacji
w pudełku farb.

W każdej myśli: motyłu czy orle
dostrzegam zmienną postać
raz pochyloną, raz prostą,
gdy przymierzam dłueto,
by w kamienia jednoznaczność
zakuć jej kształt.

W każdym drgnieniu serc ludzkich,
zwyczajnych
słyszę dziwną melodię
przekleństw i modlitw,
gdy swe czucie dostrajam,
by je niezdarnie utrwalić
w kropeczkach nut.

A ja cię nawet
nazwać nie umiem...

dziejach Stanów niebывała! nazwał go jednym z największych Amerykanów.

SYSTEM BAZ

Osiągnięcia Marshalla leżą w dwóch dziedzinach: wojskowej i politycznej. Te ostatnie nie byłyby możliwe bez pierwszych. Stanowisko szefa sztabu USA, jakie w konflikcie obejmującym wszystkie lądy i morza ziemi, zajmował Marshall, dało mu jedyną dotąd okazję poznania ośrodków i kierunków zagrożenia i oporu na oceanach półkuli zachodniej. Kolosalne środki materialne, jakimi dysponował na morzu, w powietrzu a w końcu i na lądzie, pozwoliły opasać Pacyfik i Atlantyk systemem baz wojskowych, który po zakończeniu wojny, rozbudowano jak gdyby w przewidywaniu wysokiego napięcia.

Biorąc za punkt wyjścia zachodnie wybrzeża Stanów, ciągnie się one w dwóch, prawie równoległych liniach do wybrzeży azjatyckich. Ramię północne, mając za podstawy bazy w Alasce (Fairbanks, Kodiak) idzie przez Aleuty (Adak, Attu) do baz w Japonii, ramię południowe wyciąga

się ze Stanów (Seattle, San Francisco, Los Angeles, San Diego) przez Pearl Harbour, Midway, Kwajalein, Guam, Two-Jima, Okinawę do baz filipińskich. Na samym kontynencie azjatyckim, po likwidacji punktów w Chinach północnych, skąd komunizm chiński wyparł Amerykanów, pozostają im bazy w Yunnan, Indiach (Chabua, Agra, Karachi) oraz nowo utworzone w Persji i Arabii, a zwłaszcza u nasady Zatoki Perskiej.

Podobnie dwufazowo skonstruowany jest system obrony Atlantyku. Jego północne ramię zaczyna się w bazach na Nowej Fundlandii i Labradorze a ciągnie przez Grenlandię i Islandię do Wielkiej Brytanii. Południowe ramię (nie licząc centrum systemu jakim są wybrzeża zachodnie Stanów) opiera się o Bermudy, Miami, Guantanamo (Kuba), San Juan (Portorico) i port of Spain (Trynidad) a przez Azory dociera do afrykańskich baz w Bathhurst (a zapewne i Dakar) i Casablanci. Nie jest też tajemnicą, że systemy pacyficzny i atlantycki wiążą się w Afryce, którą również przebiegają na dwóch wysokościach: śródziemnomorskiej (Bizerta-Trypolis-Suez) i zwrotnikowej (Bathhurst-Kano-Khartoum) uzyskując w ten sposób połączenie z Zatoką Perską w Bassorah.

Ten system strategiczny, stworzony przeciw osi Berlin-Tokio, panującej wówczas zarówno nad wybrzeżem atlantyckim Europy jak i pacyficznym Azji, wymagał dla swej realizacji okroczenia kuli ziemskiej przez Stany Zjednoczone. Znajdują się one, jeśli nie w centrum geometrycznym, to na pewno w centrum geograficznym półkuli północnej. Biorąc pod uwagę, że zaledwie około 15% ludzkości żyje w półkuli południowej, że nie wykazuje ona żadnego poważniejszego zgeszczenia, a co zatem idzie ekspansji ludzkiej, stanowiąc — szczególnie — rezerwuarny dla półkuli północnej, uznać musimy stan rzeczy istniejący na północ od równika za miarodajny dla całej kuli ziemskiej. Polega on współcześnie na niepodzielnym panowaniu anglosaskim na wszystkich wodach i nad nimi, co dawniej lubili oni określać jako „wolność mórz“ a co szczerzej ujął H. Luce mówiąc, że okręty i samoloty amerykańskie muszą zawsze iść gdzie, kiedy i jak chcą. Ten stan rzeczy nie obejmuje jednak jądra ziemi, tj. Azji. Leży ona poza zasięgiem floty i operacji wodno-łądowych. Żadna ekspedycja od morza do serca lądu nie dojdzie. Kto nad nim natomiast panuje, może dotrzeć do dowolnego punktu wybrzeża.

KOMUNISTYCZNY RYWAŁ

Rozmiary podbojów i ekspansji Rosji carskiej w XIX w. a sowieckiej w wieku XX dowodzą, że zdolna jest ona do takiego dokonania. Uzyskawszy w komunizmie niesłychanie elastyczne a zarazem potężne narzędzie poddawania swej polityce krajów i narodów, Moskwa buduje sobie bazę geopolityczną nie tylko wyłączającą pax americana, ale stwarzającą konkurencyjny, oparty o siłę przycią-

gania jaką osiąść musi zorganizowania przemożnej masy lądowej świata.

Natomiast w istniejącym stanie rzeczy, zaden z historycznych narodów-zdobywców (Francja, Niemcy, Japonia, nie mówiąc już o mniejszych) nie posiada — i w granicach widzenia naszego pokolenia — posiadać nie będzie warunków stanięcia w poprzek zamierzeniom Waszyngtonu i Moskwy.

Zrozumiałe więc jest dążenie Moskwy do przerwania otoku amerykańskiego w punkcie najdogodniejszym, na Morzu Południowo-Chińskim. Zarówno odległość od Stanów jest tam najdłuższa jak i chaos panujący na gruzach dawnych posiadłości kolonialnych Francji, Anglii i Holandii, największy. Groźne fermenty w Burmie, Indochinach i całej Indonezji, potrzebują tylko pchnięcia przez napływającą od północy falę komunizmu chińskiego, by przybrać rozmiały katastrofy, nieobliczalnej w skutkach dla całej koncepcji amerykańskiej.

DLACZEGO EUROPA?

Tymczasem ośrodek dyspozycyjny komunizmu światowego a zarazem decydującego mocarstwa azjatyckiego, Rosji, mieści się w Europie. Do Moskwy najbliższy dziś z zachodniej Europy. W tej zaś nagromadzone są przez USA największe środki materiałowo-organizacyjne.

Dłatego Marshall, nie tracąc z oczu całości zagadnienia półkuli północnej, opracował wieloetapowy plan podźwignięcia tego obszaru z depresji gospodarczej, przekształcenia na razie zachodniej Europy w jednolity polityczny blok i uzbrojenia go — wreszcie — w rozmiarach, jakich taki przyczółek azjatycki wymaga. Stąd, w logicznej — chciałoby się powiedzieć — sztabowej — kolejności: plan Marshalla, praca nad unią europejską, pakt atlantycki, a w końcu pomoc zbrojeniowa USA dla Europy.

Dla Europy i nie tylko dla Europy, bo już w orędziu do Kongresu z 23.7. b.r. Truman podkreślił równoległą konieczność dozbrojenia Bliskiego Wschodu (Grecja, Turcja, Iran), wymienił Koreę (a wiadomo, że obrona jej mieści się w planie Mac Arthura obejmującym również Japonię, Formozę i Filipiny, czyli Daleki Wschód) i zapewnił Amerykę Łacińską o gotowości Stanów dostarczenia jej potrzebnej broni.

FIAT URBS ORBIS

Jeśli więc Prezydent Stanów Zjednoczonych mówi o obowiązkach największego narodu świata, jeśli dumny jest z tego, że stał się on w 160 lat tym, czego Rzym doznał po lat tysiącu, to stwierdza w ten sposób dwa fakty: 1) dojrzałość całego globu do objęcia go jedną organizacją, tak jak Rzym objął swym imperium całość obszaru leżącego w jego zasięgu, 2) dojrzałość narodu amerykańskiego do podjęcia się zadania, które Rzymianie, rozpoznawszy swą „półkulę”, podjęli i dokonali.

Nie chodzi tu oczywiście o żadne analogie. Są tacy, których oburzyło by już samo słowo. Pewne jest jednak, że w chwili gdy w senacie rzymskim padły słowa: fiat urbs orbis, w Grecji uważano Rzymian! jeszcze za barbarzyńców. Pewne też jest, że słowa te, ku niewymiernej korzyści Europejczyków, zostały zrealizowane.

Dziś, wobec wyzwania rzuconego naszej cywilizacji przez Moskwę, Amerykanie przyjmują za jej losy odpowiedzialność. Wierzą w swe siły i wierzą w wyższość swej cywilizacji, której istnienie i rozwój zapewnić może tylko pax americana. Rzecz pewna, że nie wierzą wszyscy i że świadomość tej misji żywa jest tylko w nielicznej mniejszości. Nie była ona jednak znaczniejsza w okresie gdy Roosevelt sterował ku interwencji i gdy przekonywał opinię publiczną, iż „nikt nie powinien sobie wyobrażać, że Ameryka będzie oszczędzona i może liczyć na wyrozumiałość“ Niemców i Japończyków, których siły i możliwości były przecie — w porównaniu z dzisiejszą Rosją Sowiecką — nieznaczące. A jednak miliony młodzieży amerykańskiej wyruszyły za oceany i groby ich rozsiane są po całej kuli ziemskiej.

Dziś, obok tych grobów, istnieją bazy wojskowe. Nie można zaś zlikwidować jednej, by nie zagrozić innym. Przeciwnie, trzeba zakładać nowe, ubezpieczyć istniejące.

I tu dopiero nasuwa się wspomnienie Rzymu.

I on nie miał, od początku, planów ni podbojów ni imperium. By zabezpieczyć Miasto, musiał zdobyć Latium, by chronić Latium opanował półwysep, do czego znowu konieczne było zniszczenie, na przeciwnym kontynencie rozsiadłej, Kartaginy. Państwo lądowe, jakim był Rzym, stworzył w tym celu flotę. Stawczy się mocarstwem morskim nie mogło ograniczać się do basenu zachodniego Morza śródziemnego (Kartagina i jej galijsko-iberyjskie posiadłości), ale musiało opanować i basen wschodni (Grecja, Persja, Egipt), bo dostrzegło — wtedy dopiero — swą centralną pozycję na „mare nostrum“. Z chwilą gdy symboliczne znaczenie podwójnego oblicza Janusa, zwróconego i ku zachodowi, zo-

stało zrozumiane, wszystkie dalsze podboje Rzymu były już jedynie dyktowane koniecznością ubezpieczenia Imperium. Tak podbito Galię i Brytanię, wkroczone do Germanii, opanowano Macedonię i Trację, zaawanturowano się w głąb kontynentu azjatyckiego. I tak, może wbrew a na pewno mimo woli obywateli rzymskich, wojnom niechętnych a dla losu dalekich, barbarzyńskich krajów, obojętnych, powstało Imperium Romanum. Wizja jego istniała za czasów Scypiona i Cyserona, ale wykuła epoka Cezara i Augustów.

Wspomnieć tu warto, że Rzymianie stosowali dwie odrębne taktyki: na wschodzie i zachodzie. Tam, ograniczali się do supremacji, tu, inkorporowali do swego systemu. Przeciwnieństwa między wschodem a zachodem już wówczas istniały a Rzymianie — z wrodzonym empiryzmem — doceniali ich wagę, traktując ludzi na zachodzie jako obywateli, cywes, a na wschodzie tylko jako sprzymierzeńców. socii.

Nie mniejsze wahania i nie większą ostrożność w angażowaniu się w sprawy tego skomplikowanego świata, wykazuje historia Stanów Zjednoczonych. Od skrawka wybrzeża atlantyckiego, sięgającego zaledwie do Allaghanów i Ohio — terytorium państwowego, objętego konstytucją 13 stanów z r. 1787 — do milionów kilometrów kwadratowych, między Atlantykiem a Pacyfikiem, do wszędyobecności dzisiejszych USA, droga bardzo daleka!

Terytorium to, nie etnicznie nie mającego wspólnego z kolonistami angielskimi; wschodniego wybrzeża, scaikowane zostało nie od razu i nie dobrowolnie.

Dolarami zapłacono Francuzom za Luizjanę a Rosjanom za Alaskę, ale zbrojnie zdobyto Texas, Nowy Meksyk, Arizonę i Kalifornię. Dokonał tego, wbrew Kongresowi i opinii (uchwała Kongresu: „Wojna ta jest zbyt kosztowna i sprzeczna z konstytucją“), narzucając wojnę Meksykowi, prezydent Polk. Droga sprowokowanych zamachów, weszły w posiadanie Stanów: Kuba, Hawaje, drogą wojny z Hiszpanią; Filipiny, Guam i Portoryco. Nie jednej trzeba było interwencji, by ułożyć po myśl Waszyngtonu stan rzeczy w całej Ameryce Środkowej. Teodor Roosevelt nie byłby przekopał Kanału Panamskiego bez marynarzy, którzy wsparli „rewolucję“ w Kolumbii i wywalczyli niepodległość Panamy.

I tak, powoli, historia Stanów, może wbrew a na pewno mimo chęci obywateli, rozpostarła się od portu bostońskiego, przez 13 stanów, przez kontynent północno-amerykański, do półkuli zachodniej a dziś decyduje już o losach półkuli północnej.

Toteż kiedy prezydent Truman mówi, że osiągnięcie to jest prawdziwie niewiarogodne, wydaje mi się, że odczuwam pewien lęk w sercu człowieka, który — w zwrotnym punkcie historii świata — stoi na czele narodu taką obdarzonego odpowiedzialnością. Obdarzonego, nie zaś obarczonego, bo nie każdemu narodowi wytyczona jest tak stroma droga.

VERITAS

Katolicki Ośrodek Wydawniczy

KSIĘGARNIA

poleca duży wybór książek religijnych, społecznych i beletrystycznych
Tel. AMB 6879

DRUKARNIA

wykonuje czasopisma, książki i wszelkie prace drukarskie
Tel. PAD 9734

12, Pread Mews, London, W. 2

„DEMOKRACJA LUDOWA“ W POLSCE 2)

NISZCZENIE SĄDOWNICTWA

DEKRETEM z dnia 30.9.1944 wprowadzającego nowy Kodeks Karny Wojska Polskiego wprowadzono zasadę, że przepisy tego zasadniczo do osób wojskowych ograniczonego prawa stosowane być mogą również do niewojskowych a więc do każdego cywilnego mieszkańca Polski lub jej obywatela (art. 5. p. d. i art. 6 tegoż dekretu). Tym drobnym przepisem wprowadzono właściwość sądów wojskowych odnośnie osób cywilnych co do spraw procesowych natury politycznej. Tę zasadę wyraźnie jeszcze rozszerzono przepisami art. 16 dekretu PKWN z dnia 30.10.1944 o ochronie państwa i oddał niezmienne ją utrzymać, rozszerzając coraz bardziej zakres właściwości sądownictwa wojskowego odnośnie osób cywilnych z tym jeszcze, że same prokuratury wojskowe lub sądy wojskowe zgodnie z przepisem art. 17 nowego Kodeksu Wojskowego Postępowania Karnego z 23.6.1945 orzekają (rozstrzygają z urzędu) o swojej właściwości w tych sprawach. W praktyce wygląda to tak, że sądownictwo wojskowe zawsze przydziela sobie sprawy wówczas, gdy nie ma pełnego zaufania do sądów powszechnych (w praktyce nigdy), że należyćie załatwić sprawę. Odpowiednio szeroka interpretacja, spreczna z wszelkimi dotychczasowymi zasadami prawa i przepisów prawnych, ustawodawstwa specjalnego i wyjątkowego dopełniła metodę jak najszerszego poddania cywilnych obywateli właściwości sądów i prokuratorów wojskowych.

W jakim to wszystko celu? Oż sądownictwo powszechne w Polsce uznały czynniki rządzące Polską za reakcyjne i nie zasługujące na zaufanie. Nawet sądów specjalnych stworzonych w r. 1945 dla specjalnych celów nie uznano za wystarczająco pewne. Tymczasem prokuratury i sądy wojskowe tym wymogom od początku odpowiadają. Są one od góry obsadzone przez tzw. p. o. p'ów czyli oficerów sowieckich w formalnej (a

właściwie pozornej) służbie polskiej, w dużej części przez obywateli polskich obcych narodowi polskiemu, a wreszcie jedynie w drobnej części przez polskich prawników powołanych do służby państwowej. W tych warunkach łatwo znaleźć prokuratora wojskowego „należyćie“ do sprawy nastawionej oraz stworzyć odpowiedni dla zamierzonego celu „komplet sądowy“. Materiał przygotowują tzw. organy bezpieczeństwa i wynik procesu karnego przed takim sądem jest z góry wiadomy. Nie potrzebuję przy tym szczególnie podkreślać, że owa większość prorożymowa prokuratorów i sędziów wojskowych skrupuły moralne uważa za rzecz dzieciinną, niegodną świadomego komunisty i zgodnie z założeniami światopoglądu komunistycznego uznaje jedynie zasadę, że „cel uświęca środki“.

Samo się przez się rozumie, że właściwe czynniki kierujące sądownictwem wojskowym i aparatem bezpieczeństwa w Polsce podporządkowane są jednemu nadrzędnemu czynnikowi, który z Polską nie ma nic wspólnego.

Sądownictwa powszechnego uznanego przez czynniki rządzące w Polsce za reakcyjne, nie można było tak od razu ująć politycznie i przeformować go do zadań należytego wymiaru sprawiedliwości, nie w dotychczasowym oczywiście znaczeniu tego słowa. Niemniej od razu przystąpiono i w tej dziedzinie do reorganizacji i to naprzód od strony negatywnej. W pierwszym rzędzie wyłączono spod kompetencji Ministerstwa Sprawiedliwości całe więziennictwo i podporządkowano je Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Ze jest to w ustroju państwowym krok wstecz aż do czasu sprzed wielkiej rewolucji francuskiej o to naturalnie nikogo z komunistów, głoszących rzekomo postęp, głowa nie boli. Następnie funkcjonariuszów aparatu bezpieczeństwa (Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej) poddano odnośnie ich

tak licznych nadużyć sądownictwu wojskowemu. Wreszcie wprowadzono w bardzo szerokim zakresie sądy do-razne orzekające w składzie jednego sędziego zawodowego i dwóch ławników „z ludu“ (z listy przez kompartię odpowiednio ustalonej), oraz sądy ławnicze również w składzie analogicznym do sądów doraźnych.

To jednak jeszcze wszystko nie wystarczyło dla stworzenia aparatu sądowego, który w myśl oświadczeń najwyższych obecnych dygnitarzy państwowych winien i musi być również narzędziem politycznym w walce „klasy robotniczej“ przeciwko reakcji w państwie o wprowadzenie w pełni marksizmu. Zachowując więc z konieczności na razie w służbie przedwojenny aparat personalny w sądach i prokuraturach przystąpiono pospiesznie do szkolenia w tzw. szkołach prawniczych „ludowych“ prokuratorów i sędziów zawodowych. Kandydatowi wystarczyło przygotowanie siedmiu klas szkoły powszechnej, musi pochodzić jednak „z ludu“, musi być odpowiednio uświadomiony politycznie i „społecznie wyrobiony“. Po kursie sześciu lub dziewięćmiesięcznym otrzymuje, po zdaniu egzaminu (na odpowiednim poziomie), nominację na asesora sądowego lub prokuratury a po niedługim czasie praktyki nominację na prokuratora lub sędziego. Ze ten nowy element w sądownictwie, tak „wszechstronnie“ przygotowany fachowo, ma znacznie mniej wątpliwości prawniczych od dawnych sędziów lub prokuratorów jest oczywiste. Ci nowi ludzie lepiej też rozumieją „nowe zadania“ sądownictwa w Polsce i lepiej „wiążą je z nowymi nurtami społecznymi“.

Niezależnie od tego przeszkała się politycznie całe sądownictwo, egzaminuje się je „oczyszcza“ z elementów nie chcących się należyćie nagiąć i wreszcie zasadniczo reorganizuje.

BALTUS

PRZYCZYNY NIEPOWODZEŃ SOCJALIZMU

W WIELKIEJ BRYTANII rośnie fala krytyki socjalizmu. Zarówno konserwatyści jak i niektórzy działacze socjalistycznej okazują rosnące niezadowolenie, a co jeszcze gorsze — masy członków związków zawodowych coraz częściej występują przeciw polityce rządu Labour Partii zwalczając za pomocą nielegalnego strajku urzędową politykę „zamrażania“ zarobków.

Ten ostatni objaw jest w praktyce najnieprzyjemniejszy dla partii rządzącej i w pewnych warunkach mógłby nawet spowodować jej katastrofę. Na tym budują swe nadzieje konserwatyści z jednej strony, a komuniści z drugiej. Ta zbieżność życzeń oczywiście nie powinna nikogo

wprowadzać w błąd; bowiem jedni liczą na inne skutki społeczne takiej możliwości niż drudzy.

Socjalizm w Wielkiej Brytanii był już nieraz bardzo ostro krytykowany, tak się jednak działo, że zwykle nie za to za co należało go krytykować.

Krytyka konserwatystów wychodziła z założenia, że reformy gospodarcze socjalistów są złe i niepraktyczne, biadała nad zmniejszeniem zasięgu gospodarstwa prywatnego i przyczyny wszelkiego zła widziała w fatalnej koncepcji ustrojowej socjalizmu. Tej krytyce uległo wielu Polaków i najpoważniejsi nawet nasi rodacy powtarzają, że niepowodzenia Wielkiej Brytanii rozpoczę-

ły się w chwili upaństwowienia wę-gla, kolei itp. Nie tu miejsce oczywiście na roztrząsanie tego zagadnienia, warto jednak wspomnieć, że większość z nas urodziła się w krajach upaństwowionych kolei i że prywatne posiadanie kopalń śląskich nie budziło w nas zbyt wielkiego entuzjazmu przed 1939 r.

Grzechy socjalizmu występują dziś bardzo widocznie w wielu krajach, leżą one jednak więcej w dziedzinie psychologii niż gdzie indziej.

Socjalizm z doktrynerstwa a trochę z konieczności zajął niewłaściwą postawę wobec społeczeństwa a wobec człowieka pracy w szczególności. W stosunku do społeczeństwa prowadził przez wiek blisko systematyczną ro-

botę pogłębiania istniejących konfliktów ekonomicznych, w stosunku do robotników — niszczył chęć pracy i wysiłku produkcyjnego.

Socjaliści uwierzyli i kazali wierzyć innym, że społeczeństwa dzielą się i muszą się dzielić na zwalczające się bezwzględnie grupy o istnieniu warunkowanym ekonomicznie. Zwalczanie się klas społecznych miało być naturalnym procesem kształtującym społeczeństwo, socjaliści przyjęli to za pewnik teoretyczny a w praktyce podsycaли tę walkę, rozszerzając jej zakres i bogacąc ją przez coraz nowe, doskonalsze metody. Przez całe dziesiątki lat nauczali, że społeczeństwo nie jest całością, że „ojczyzna” jest wynalazkiem burżujów i że ten, kto powołuje się na potrzeby państwa czy na solidarność społeczną jest tylko eksploatatorem strojącym się w idealistyczne piórka. Wmawiali, że im wznioślej mówi tym bardziej chce wykorzystywać i nauczyli swych zwolenników, jak skutecznie „bronić się” przed „hurrapatriotycznym sloganem kapitalistycznego wyzysku”.

W dwudziestym wieku przypadło im w udziale zasmakować skutków własnej ideologii. Gdziekolwiek objeli rządzą musieli w chwilach trudnych pochłaniać się hasłami narodowymi czy państwowymi nie licząc się z odzwierciedleniem wśród własnych zwolenników. Rzadko im przyszło do głowy, że nie po to wpoili szeregowemu socjalistom nieufność wobec „hurrapatriotów”, by zmieniać na zdanie natychmiast, gdy „hurrapatriotami” zostali wczorajsi przywódcy związku zawodowego. Socjalista w każdym niemal wypadku zachował się normalnie, tj. po ludzku i miał zawsze wątpliwości, gdy go zaczynano uczyć „obowiązków solidarności społecznej”, gdy mu wykładano, że państwu potrzebuje większej wydajności pracy czy większego wysiłku i rezygnacji z celów grupowych. Skłonny był wtedy przypuszczać, że coś niedobrego dzieje się z jego przywódcami, skoro zaczynają oni używać hasel, przed którymi zawsze ostrzegali.

Kłopot ten oczywiście dotyczy tylko umiarkowanych socjalistów, gdyż nieumiarkowani — bolszewicy nigdy za bardzo się z opinii własnego członka nie liczyli, szczególnie wtedy, gdy mogli już przekonywać go nie tylko przy pomocy propagandy ale również przy pomocy NKWD.

W stosunku zaś do indywidualnie wziętego robotnika socjalizm grzeszył także przez długie lata. Gdy z jednej strony niewątpliwie brał go w wielu kwestiach w obronę, to z drugiej czynił to przy użyciu metod na długą metę niebezpiecznych i demoralizujących.

Oto garść sloganów, które wpajane przez ostatnie sto lat znalazły prawo obywatelstwa w umysłach ludzi pracy.

1. „Zysk przedsiębiorcy pochodzi z kradzieży — odbierz go!”
2. „Pracuj tylko tyle za ile ci płacą: zawsze ci płacą za mało, nie dawaj przeto z siebie za dużo!”
3. „Państwo socjalistyczne da ci wszystko czego potrzebujesz!”
4. „Zwycięstwo socjalizmu oznacza, że bogactwa kapitalistów przejmie

społeczeństwo socjalistyczne — to znaczy TY!”

W naturalnej swej roli opozycjonistów wobec systemu kapitalistycznego socjaliści mogli głosić podobne hasła i nie odczuwali z tego powodu żadnych kłopotów ani trudności — zostawiali je przeciwnikom.

Gdy jednak obejmowali rządy sytuacja psuła się i była tym gorsza im dalej posuwali się w przeprowadzaniu reform.

Dzieje się to dlatego, że żaden rząd socjalistyczny nie jest w stanie dotrzymać obietnic udzielonych poprzednio. Socjaliści dochodzą zwykle do władzy wtedy, gdy system kapitalistyczny przeżywa kryzys, gdy są trudności ekonomiczne i polityczne, gdy trudno jest zdobyć środki potrzebne na finansowanie państwa socjalistycznego. Socjalistyczne projekty ustrojowe są doktrynerskie i dopiero praktyka rządzenia uczy autorów co z nich nadaje się do realizacji. To powoduje konieczne marnowanie zasobów krajowych i nikomu nie przynosi korzyści.

Wreszcie likwidacja kapitalisty kosztuje. Jest obojętne przy tym czy wywłaszczenie pociąga za sobą odszkodowanie czy nie, gdyż w pierwszym wypadku odszkodowanie jest ceną, w drugiej zwykle zaś płaci się stratami za nagłe zerwanie z dotychczasową rutyną i przejście rewolucyjne do nowych metod organizacyjnych.

Zyski dawnego kapitalisty przechodzą na państwo socjalistyczne, które je bądź inwestuje, bądź też używa na ubezpieczenia społeczne, rozbudowę oświaty, czy różne świadczenia w rodzaju bezpłatnej pomocy lekarskiej, opieki nad rozmaitymi kategoriami jednostek nie mogących pracować itp. Niemal nigdy zyski te nie idą do kieszeni robotnika jako bezpośrednia zapłata za pracę. I to właśnie jest powodem przekonywania robotników, że im nie dotrzymano obietnicy: Zara-

biają bowiem niewiele więcej lub tyleż co za kapitalistów.

W tych warunkach trudno od nich wymagać, by pracowali wydajniej. Zresztą uczone ich przez długie lata, że nie można się przepracowywać, a spotykali i takich proroków socjalizmu, którzy wróżyli przyjęcie ustroju, w którym parę godzin pracy dziennie pozwoli każdemu na zaspokojenie potrzeb.

Wszystko to w praktyce nie sprawdza się. Trzeba apelować do dobrej woli pracownika przy użyciu tych samych hasel, korych używał tzw. system kapitalistyczny. Hasła te muszą teraz głosić sami przywódcy socjalizmu i pierwszy lepszy złośliwiec może im łatwo przypomnieć, że zaprzeczają temu co sami przedtem mówili.

Złośliwców jest pełno — pochodzą głównie ze środowiska socjalistycznego, a należą do nich przede wszystkim komuniści.

Z dzieciinną łatwością szerzy się ich hasło: „Przywódcy socjalistyczni zdradzili robotników, zostali dygnitarzami, kierownikami fabryk, banków i kolei. Rządy socjalistyczne zależne są od kapitalistów rządzących potężnymi krajami wierzyielskimi — rządy socjalistyczne zaprzedały się kapitalistom”.

Bardzo wielu robotników wierzy komunistom. Mówią oni bowiem, że wymarzony sen o nowym lepszym ustroju sprawdzi się. Trzeba tylko złych przywódców, zdrajców własnej sprawy zastąpić nowymi, lepszymi — a wszystko się uda.

Rządy socjalistyczne patrzą na to bezsilnie, bo rzadko mogą zdobyć się na skuteczne przeciwdziałanie. Składają się z ludzi złapanych w potrzask własnych obietnic. Metody psychologiczne stosowane przez lata mszczą się na tych, którzy je wynaleźli. Szkoda przy tym, że całe społeczeństwa muszą płacić także za niepopelnione przez siebie winy.

S. Ł.

LIST Z ARGENTYNY

W LIPCU 49 roku obchodziła Argentyna 133 rocznicę niepodległości. Sto trzydzieści trzy lata!

Na tle skłóconej Europy, nad której ruinami unosi się jeszcze cień śmierci i krematoriów — Argentyna stanowi jasny znak wolności i rozwoju. Dlatego człowiek z Polski przygląda się temu krajowi z żalem w sercu, lecz jednocześnie musi ulec pewnemu radosnemu zdziwieniu, że są jeszcze miejsca na ziemi, gdzie pokój i wolność potrafią mieć swą wymowę.

Argentyna jest państwem młodym i jej właściwa historia niewiele wyprzedza tę niepodległość. Wszelkie pamiatki historyczne, fakty, miejsca bitew, bohaterowie — wszystko to ododgrzebywane jest ze stuleci z wielkim pietyzmem i z ołbrzymim pragnieniem nadania swemu państwu głębokiej treści wiekowego trwania. Politycy argentyńscy dążyli do stworzenia narodu argentyńskiego, zdając sobie sprawę, że w pierwszych fazach procesu formowania będzie to twór sztuczny. W rzeczy samej jeszcze dziś

owa „narodowość” argentyńska brzmi dziwnie. Stworzyli ją przybysze z Hiszpanii, Włoch i Francji w oparciu o tubylczych potomków Indian.

Czarnosiny kolor skóry nie jest w Argentynie przedmiotem pogardy. Ludzie czarni Ameryki Północnej są zarzewiem buntu i tragedii. Potomkowie Indian w kraju argentyńskim cieszą się pełnią praw obywatelskich, dopuszczeni są do wszelkiego udziału w życiu państwowym i społecznym. Dzielnice murzyńskie i ghetta Stanów Zjednoczonych są w Argentynie nie do pomyslenia. Argentyna realizuje politykę rasową, opartą na chrześcijańskiej podstawie.

Z kultury łacińskiej przeszczepionej tu przez przybyszów z Europy wyrasta katolicyzm państwa argentyńskiego. Katolicyzm ten jest tu potężny — i on zapewne jest źródłem wszelkich humanitarnych, społecznych osiągnięć.

W tym państwie znalazło drugą ojczyznę wielu emigrantów, płynących tu wielką falą od lat. Polityka imi-

gracyjna Argentyny nie jest obwarowana zastrzeżeniami w rodzaju uprzywilejowanych narodowości czy ras, co ma miejsce np. w przepisach emigracyjnych Stanów Zjednoczonych. Granice argentyńskiego państwa są otwarte dla wszystkich ludzi, pragnących uczciwie żyć i pracować. Należy podkreślić fakt ustosunkowania się Argentyny do emigracji uchodźców polskich, którzy długo i bezskutecznie pukali do drzwi Stanów Zjednoczonych czy dominijów brytyjskich. Tu przyjechało najwięcej polskich rodzin z dziećmi, tu przyjechało najwięcej starszych żołnierzy, wielu pólnowalidów i ludzi niezupełnie zdrowych. Wszyscy znaleźli tu pracę, z której mogą żyć. Wszyscy znaleźli tu spokój i wolność od piętna "foreignera". Ich pracę ceni się więcej, gdyż Europejczyk jest tu symbolem solidności i uczciwości.

Nie należy jednak sądzić, że życie Polaków jest tu jakimś eldorado. Na chleb powszedni pracować trzeba ciężko. Oczywiście ci, którzy przyjechali z pewnym kapitałem i założyli własne zakłady czy warsztaty pracy mogą łatwo bogacić się, ale przeciętny emigrant polski prowadzi życie na przeciętnym poziomie.

Polonia argentyńska liczy 200.000 Polaków z emigracji starej, do której przybyło kilka tysięcy emigracji powojennej. Stara emigracja jest rozrzucona po całym kraju od Terra del Fuego przez Mendozę, Cordobę i Buenos Aires, gdzie skupia się większość emigrantów ostatnio przybyłych. Polskość jest tu kultywowana we wzruszającej formie wśród starego pokolenia, podczas gdy Polacy tu urodzeni silną faktą chłoną wpływy argentyńskiej. Na terenie Argentyny jest szereg organizacji i związków polskich, powstałych dzięki inicjatywie i ofiarnej pracy dawnych pokoleń. Centralą ich jest Związek Polaków w Argentynie — odbywający w tym roku 22. roczne walne zebranie, mogący się poszczycić dużymi osiągnięciami na polu kulturalnym — społecznym. Jest to tym godniejsze podkreślenia, że Związek boryka się od lat z trudnościami materialnymi, o które rozbijają się wszelkie poczynania. Owe trudności materialne są w dużej mierze

wynikiem obojętności społeczności polskiej. Dowodem tej obojętnej postawy niech będzie fakt, że organ Związku Polaków "Głos Polski" wychodzi w nakładzie 4 tysięcy przy ponad dwustutysięcznej masie polskiej w Argentynie. Pismo to wychodzi od lat 26 i przez cały okres swego istnienia walczy z uporem o utrzymanie polskości i dobro sprawy polskiej.

Nowa emigracja żołnierska skupia się w Związku Kombatantów i szeregu związków specjalnych, jak Karpatczycy, Tobrukczycy i in.

Rola emigracji polskiej w szerzeniu prawdy o Polsce jest tu obecnie duża. Przeciętny Argentyńczyk wie o Polsce mało, lecz sam fakt, że obok niego pracuje jako robotnik były oficer, adwokat czy profesor — daje mu dużo do myślenia. Wprawdzie są wśród robotników tacy, którzy zadają Polakom pytania np. czy w Polsce śpiewano tanga, lub czy jeszcze jest wojna — lecz obok tych są inni, którzy potrafią poświecić całodzienny zarobek, by nabyć bilet na koncert Szopena. I na owym koncercie szopenowskim Witolda Małcużyńskiego, który był wspaniałą manifestacją polskości — krzyknąć: *Arriba Polonia!*

Nastawienie do Polaków jest tu przychylnie, przyjacielskie i nacechowane zrozumieniem ich losu. Podobnie rzecz przedstawia się jeśli chodzi o inne narodowości spod wschodniej wolności. Komunizm i owa wschodnia demokracja są w Argentynie oceniane z należytym realizmem, jakkolwiek nie brak tu propagandy komunistycznej, która stara się trafić do robotników wszelkimi drogami. Robotnik argentyński jest jednak zbyt dobrze chroniony przez swoje doskonale zorganizowane związki zawodowe, by być przystępnym odbiorcą komunistycznej idei. Zdarza się oczywiście, że idea owa urzeka wielu — bowiem siła atrakcyjna komunizmu szczególnie na odległość jest niestety potężna. Toteż znak sierpa i młota można tu spotkać na murach. Jest on jednak zbyt mały, by stanowił dla argentyńskiej demokracji problem, którego należałoby się obawiać.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

ŻOŁNIERZE

SPOD ZNAKU MICHAŁA ARCHANIOLA

JEDNĄ z najczęściej spotykanych cech charakterystycznych Polaków jest skłonność do przesady. Odziedziczyliśmy ją zapewne razem z lepszą częścią dziedzictwa po twórcach kultury śródziemnomorskiej, gdzie dotychczas przesada wymowy, gestu, rozpaczy i radości wypełnia nie tylko cztery ściany mieszkań, lecz przenosi się na słoneczne ulice.

Ponieważ jesteście narodem północnym, mniej nasświetlonym przez słońce, więc i nasze skłonności nabrały ciemniejszego kolorytu. Gdy Włosi kłócą się na ulicy, na oko bliscy morderczej bójki, rozchodzą się ze śmiechem, u nas to wygląda inaczej. Wszystko bierzemy bardziej na serio,

aibo bardziej ponuro, dramatycznie i tragicznie. Doskonali w waleczności, zbyt szybko i zbyt łatwo potrafimy wysztydzić niedawny zapał. Ponieważ wśród wielu naszych skłonności posiadamy także rozwiniętą pasję do filozofowania (czego przykładem niniejszy wstęp do recenzji), udowadniania i podpierania argumentami mniej lub więcej racjonalistycznymi więc nasze sztyderstwa i nasze samo-odbrązowianie się gromadzą możliwie najwięcej argumentów rozumowych, operują prawami logiki, podstawiają niemal gotowe syllogizmy. A na dnie czai się zawiedzione uczucie i odczucie — głębokie, wielkie, rozgorzyczne.

Tak się dzieje i ze stosunkiem spo-

łeczeństwa do naszych niedawnych spraw walki orężnej. Dziś byle maruder, dekownik zawodowy, nieużyteczny gryziopiera odgraża się, że on już ma dosyć, że on już nigdy więcej narażać się nie będzie. Był raz naiwny, więcęć się nabrać nie da. Wszystko, cokolwiek Polacy robili na jakimś froncie — on racjonalista — określa mianem romantyzmu. Usprawiedliwia tylko tych, którzy umieją się przystosować tam lub tutaj, którzy „umieją żyć”. Błędy międzynarodowe polityki czy strategii przypisuje Polakom, błędy niezbyt wybitnych jednostek rodzimych rozciąga na cały naród.

Jakby nie było dosyć ciężaru, który na nas spadł z zewnątrz, przyduśił do ziemi do spraw najniższych w sensie ludzkiej twórczości — uprawiamy to psychiczne samoudręczanie się i zbiorową „samokrytykę”, czerpiąc niekiedy wzory z propagandy nam wrogiej, zastosowanej w Polsce. A tam właśnie rzekomi racjonalisci (wśród których ostatnio znalazł się również publicysta jedynego przyzwoitego pisma), udowadniają, że dosyć sentymentów i marzeń, dosyć myślenia o ziemiach i o wschód od Bugu, marnowaniu sił na niepodległość, gdy polityką rządzą realia, a jedyną siłą realną jest Moskwa i jej polityka wobec Polski.

Tu na emigracji, spotykamy bardzo częsty i bardzo popularny typ Polaka zmęczonego niedosłym bohaterstwem, lub — bohatera na emeryturze, który zmądrzał po szkodzie i uważa, że jeśli jest jeszcze jakiś interes polski, interes sprawy polskiej, to tylko ten, który pokrywa się z jego własnym. Innych nie uznaje. „Śmierć frajerom” — powiada żargonem Powiśla.

Każda literatura wojenna, a zwłaszcza pamiętnikarska literatura wojskowa, jest zjawiskiem, które ma własne, organiczne przyczyny powstania i zazwyczaj kilka przyczyn ubocznych.

Przyczyną organiczną jest chęć wypowiedzenia tego, co w najtrudniejszych chwilach, w boju, w zwycięstwie i klęsce wyraża się kilkoma odruchami psychicznymi, a o czym człowiek wtedy mówi lub pisze niechętnie. Dopiero w jakiś czas potem uczestnik przeżytego wydarzenia, myśląc o nim często, stara się odtworzyć swój stan ówczesny, swój wewnętrzny stosunek do wydarzenia, swoje w nim przeżycia wewnętrzne. Powstaje mniej lub więcej wierne odbicie, które czasem jest tylko niezbyt ostrą fotografią, czasem zaś tym, co cechuje dzieło artystyczne. Jeśli człowiek potrafi zestawić kontury i kolor swego opisu z perspektywą wewnętrzną — powstać może dzieło literackie. Jeśli ustawia tylko szczegóły, rejestrując je według pewnego porządku, czy tezy — powstaje reportaż, rozprawa. I jedno i drugie ma swą wartość. Czasem ustawienie poszczególnych faktów oraz ich analiza narzuczone bywają autorowi z zewnątrz. Niekiedy wprost zamówione. Wtedy rezultat pracy autora, mniej lub więcej udany nazywamy propagandą.

Literatura naszych spraw wojennych, jak to pisałem gdzie indziej, ma obraz zbyt jednostronny. Zdarza się, że nawet tam, gdzie opisuje zwycięstwa i otwartą walkę narodu, robi wrażenie zamówionej, albumowej, podpierają-

cej czyjaś tezę, lub — co gorsza — osobę. Jest to bardzo ludzkie, a — niestety — jeszcze bardziej — polskie. Mamy tego parę przykładów.

I dlatego może za najlepsze w polskiej literaturze wojennej uważałbym zbiorowe a prozę prace pamiętnikarskie, określone w podtytule mianem „Pamiętnik żołnierzy”.

Rejestrują one nie tylko wydarzenia, ale dają bogaty zbiór wypowiedzi, ilustrujących przeżycia narodu, jego cel w ostatniej wojnie i najszlachetniejszą determinację osiągnięcia tego celu. Pamiętniki te wprowadzają człowieka w inny, bardziej prawdziwy świat, w którym rządziły wartości wewnętrzne, według hierarchii idei. Poszczególne części tych wspomnień są tylko fotografiami, inne, niekiedy stylizowane i uczone, najczęściej właśnie proste i prymitywne sięgają do artystycznej syntezy przeżyć i wydarzeń.

ukończyłem właśnie lekturę takich pamiętników „żołnierzy Michała Archaniola” — spadochroniarzy polskich i od paru dni chodzę pod wrażeniem tej książki. Mówię do znajomych: „Przeżytałem bardzo ładną książkę”, — obserwuję znak zapytania w oczach: „Jaką?” — „Pamiętniki żołnierzy” — odpowiadam. „Ach ... znowu o wojnie, o wojence, o szabelce...” Nie już nie mówię.

Książka*) spadochroniarzy jest bardzo dobrym przykładem wartościowej literatury wojennej, gromadzącej nie tylko fakty, lecz przedstawiającej te fakty na tle przeżyć ludzkich. Jeszcze raz przed oczami czytelnika staje to, o cośmy naprawdę walczyli i co uważamy za sprawę nieprzedawnioną, wysoce nadrzędną ponad naszymi interesami osobistymi.

Ryzyko operacji pod Arnhem było olbrzymie, ale rezultaty w razie powodzenia miały zmienić wiele nie tylko w planie operacyjnym aliantów, lecz i w ich planie politycznym. Ofensywa zachodnia zamiast wczesną wiosną 1945 r. zakończyłaby się ostatecznie decydującymi zwycięstwami już w r. 1944. To zaś zmieniłoby całkowicie ukształtowanie sił między Wschodem i Zachodem w Europie.

Nie trzeba dodawać jak bardzo żywe nadzieje wiązała Polska z operacją Powietrzną Armii Aliantów w Holandii. W tym właśnie czasie dogorywała straszliwa bitwa warszawska, niepotrzebnie przekonywająca świat o zdradzieckich celach Rosji Sowieckiej w tzw. akcji wyzwolenia.

Brygada Spadochronowa — zamiast spaść w serce Polski, do Warszawy (której położenie przez ten fakt nie uległoby zapewne zasadniczej zmianie) spadła z Pierwszą Dywizją Powietrzną W. Brytanii i jednocześnie niemal z powietrznymi wojskami USA w rejon przepraw na Renie. Stan psychiczny Brygady, słuchającej tragicznych wieści z miasta, które przez wrogie fronty przysłało spadochroniarzom swój sztandar — stan ten maluje

je kilka krótkich, wyrazistych fragmentów. Są one tak tragiczne jak tragiczny był strajk głodowy Brygady, która chciała lecieć na pomoc Słolicy.

Jeszcze bardziej dramatyczna była sama walka pod Arnhem, gdzie prócz czujnego wroga na ziemi — Niemców, szalał nieoczekiwany wrog — pogoda. Niektórzy w niej upatrują przyczyny klęski, bo kilkudniowe opóźnienie w lądowaniu sił sprzymierzonych pozwoliło Niemcom na wyniszczenie poszczególnych elementów.

Nie to jednak, nie sama walka, stanowi treść książki. Jeden z najciekawszych rozdziałów to zbiór pamiętników, opisujących drogi, jakimi żołnierze Brygady szli do tej jednostki. Ta część jest ilustracją rzeczywistego stanu ówczesnej psychiki zbiorowej, ówczesnego zapału i jest lekcją patriotyzmu, dla wszelkiego rodzaju pogrobowców klęski.

Gdy jakiś awanturczyk nieco, strzelec pisze: „A tak naprawdę mówiąc: Do wojska hiszpańskiego musiałem iść, choć komuny nienawidzę. Do wojska naszego poszedłem jednak z patriotyzmu. Może kto wierzył albo nie. A do spadochroniarzy, bo chciałem polecieć przedzie do Polski, bo już mi cała ta poniewierka zbrzydła. Ale nie udało się”.

Trudno prościej.

W rozdziale pt. „Praca” przedstawiony jest niesłychanie ciekawy, skomplikowany okres szkolenia żołnierza spadochronowego. Przeżycia w tym okresie — okresie pokonywania naturalnego strachu przestrzeni — są również bardzo bogate. Wystarczy przeczytać opis skoku z... nieotwartym spadochronem, żeby zilustrować emocjonujące wrażenia z pozornie nieciekawej dziedziny: „wyszkolenie wojskowe”. Jest w tym rozdziale dużo naturalnego humoru, nie ma natomiast „piły” wyjaśnień i tłumaczeń jakie to ważne. Tak się składa, że sama natura szkolenia żołnierza spadochronowego zakłada ważność niemal każdego szczegółu.

Zlekceważenie tego czy innego drobiazgu kończy się tragicznie, zwłaszcza w skoku.

Obserwowałem przed wojną w samolocie nad Okęciem pierwszy skok z samolotu kursu spadochronowego podchorążych lotnictwa. Widziałem z jaką sumiennością sprawdzali szczegółły sprzętu. Widziałem również pobladłe nieco i bardzo poważne twarze, gdy jeden po drugim podchodzili do otworu po wyjętych drzwiach „Fokkera”. Gdy sam zbliżyłem się do tego otworu i poszedłem wzrokiem za lecącym w dół skoczkiem — zrobiło mi się tak, jak się to w Wilnie określało niezbyt stosownym słowem: **obojętnie**. Jeszcze raz zagnało mnie do gondoli balonu na uwięzi, zapewne po to, żebym mógł lepiej zrozumieć... rozdział pamiętników spadochroniarzy traktujący o szkoleniu.

Zadanie okupacyjne Brygady i praca społeczna, którą wielkie jednostki polskie w Niemczech spełniły wobec ludności polskiej, uratowanej z rąk wroga — dopełniają obrazu działalności Brygady Spadochronowej, zajmując znak jej powędrował do sali rycerskiej muzeum. Znak to szczególnie nie tylko dlatego, że wykonali go kobiety polskie w Warszawie pod okupacją, że ozdobiły go wizerunkiem patrona Michała Archaniola, ale także dlatego, że na tym sztandarze wróciło stare zawołanie rycerstwa polskiego „Bóg i Ojczyzna”. Bóg zajmuje miejsce tzw. idei honoru, dla której prócz rzeczy pięknych, popełniono również wiele gestów pustych, nie mających pokrycia innego jak to, które zamyka dźwięk tego słowa.

Sztandar spadochroniarzy przypominał wojsku polskiemu to, co i u nas starano się nieraz odsunąć na krótki moment uroczystości, że siłą ludzką, ojczyzn i narodów — siłą najpotężniejszych armii dysponuje dla celów wiecznych człowieka jedynie i wyłącznie — Bóg.

W. TROSCIANKO

W ZAPOMNIANĄ ROCZNICĘ

BEZ szczególnej uwagi minieją w dniu 29 czerwca br. 30-letnia rocznica podpisania traktatu wersalskiego. Zapomniano o niej może dlatego, że uwagę skierowała na siebie druga prawie dokładnie w 30 lat po tamtej odbywająca się konferencja w Paryżu wielkich tego świata dla opracowania nowego traktatu pokojowego z Niemcami. Zupełnie inne moce stanęły tym razem naprzeciwko siebie, i wynik też był zgoła inny: tym razem zwycięzcy nie zgodzili się co do losu pobitych Niemiec. Sprawa polska, a w szczególności sprawa nowej granicy polsko-niemieckiej tym razem nie weszła nawet pod dyskusję.

Warto z okazji tej rocznicy zwycięstwa Romana Dmowskiego wspomnieć o zupełnie nieznanej powieści, w której mimo woli niejaki Józef Günther Lettenmair uznał wielkie zasługi Dmowskiego. Mianowicie w początkach 1944 r., a więc jeszcze w czasie ostatniej wojny, drukowało naczelne

pismo partii narodowo-socjalistycznej, oślawiony „Völkischer Beobachter” powieść Lettenmaira o... Romanie Dmowskim.

Oczywiście, utartym zwyczajem niemieckim obdarza się tam Dmowskiego jak w ogóle Polaków niewybrednymi wyzwiskami i przedstawia się ich jako pijaków: nad tym należy przejść do porządku dziennego, gdyż jest to już... właściwość stylu niemieckiego. Jednak poza tym jest powieść ta jednym wielkim mimowolnym hymnem pochwalnym dla wielkości, mądrości i wspaniałej walki Romana Dmowskiego o Gdańsk i Górny Śląsk na paryskiej konferencji pokojowej.

Powieść nosi tytuł: „Rohr im Sturm” — po polsku „Trzcina wśród burzy”. W tej burzy dziejowej wylania się mocna postać Dmowskiego, świadoma swoich celów i dążeń i zmiernąca do nich z żelazną wolą i konsekwencją. Widać go w niestrudzonej walce, w każdej chwili gotowego do

*) „Polscy spadochroniarze. Pamiętnik żołnierzy” — nakładem Funduszu Wydawniczego plutonu opieki 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

skoku, zamęczającego siebie i wszystkich, do których tylko można dotrzeć, memorjami, interwencjami i konferencjami, aby tylko przeciwstawić się polityce Lloyd George'a oraz co jest kanwą całej powieści, akcji wrogiej gen. Smutsa, premiera Unii Południowo-Afrykańskiej, i jego faktotum, niejakiego Sholdersa, Polaka o właściwym nazwisku Szygliński-Zweienbruck stojącego w służbie brytyjskiej.

Polak ten rzekomo opuścił Polskę w 1908 r., gdyż jako zwolennik Polski ściśle etnograficznej, obejmującej tylko obszary zamieszkałe przez większość polską nie mógł wobec zwycięstwa obozu Dmowskiego w Polsce dalej pozostawać: pała dlatego nienawiścią do Dmowskiego i jego obozu i jest przeciwnikiem budowania Wielkiej Polski kosztem Niemców. Wpadł on akurat w parę Smutsovi, któremu człowiek taki był właśnie potrzebny dla walki z argumentacją i sukcesami Dmowskiego na konferencji pokojowej. Przyjmuje go więc Smuts celem rozwinięcia anonimowej akcji propagandowej w prasie przeciwko żądaniom terytorialnym Polaków. Sholders z całą energią podsyca nienawiścią rozwija szalony atak w prasie angielskiej i francuskiej oraz w memoriałach doręczanych członkom komisji pokojowej. Wywołało to zrazu konsternację a następnie energiczną reakcję w obozie polskim a przede wszystkim u Dmowskiego, który wpada w szal pracy dla zwalczania nowego i anonimowego wroga. Od razu podejrzewa w tym robotę Smutsa i przekonuje o tym Clemenceau, który sprytnym manewrem powoduje wyjazd Smutsa do Węgier, Austrii i Pragi.

Tymczasem Niemcy, którzy dotychczas argumentom i sukcesom Dmowskiego nie byli w stanie się przeciwstawić, przejmują pomoc i poczynają nawet występować coraz zuchwalej, odpirając już nie tylko żądania polskie na wschodzie, ale

również żądania w sprawie Ruhry i Saary; głosy krytyczne w stosunku do zamierzeń aliantów zaczynają się podnosić w Austrii, na Węgrzech, w Czechach, w Turcji itd. W Anglii zaczyna się nawet zaznaczać atak przeciwko Lloyd George'owi i rządowi w parlamencie i w opinii publicznej Anglii, zarzucający im filogermanizm. Smutsa ogarnia przerażenie i strach przed skutkami własnej roboty; przede wszystkim strach, żeby Niemcy w końcu nie odmówili w ogóle podpisania traktatu pokojowego. Cóż wtedy będzie... może dalszy ciąg wojny? Aby uniknąć tej ostatecznej katastrofy, poleca Sholdersowi wstrzymać natychmiast dalszą akcję przeciwko Dmowskiemu.

Następuje dramatyczna scena ostatniej rozmowy Smutsa z Sholdersem, w której obaj spostrzegają, że... padli ofiarą krwi niemieckiej, jaka w ich żyłach się odezwała, i przerażeni takim odkryciem w nagłym nawróceniu poczynają pchać do pieca cały nagromadzony materiał propagandowy w obronie interesów niemieckich.

Powieść ta zastanawia także dlatego, że odśmiała akcję angielską na rzecz Niemiec odpowiadającą stwierdzeniu Dmowskiego w jego „Polityce polskiej”. Pisze on: „Zauważ tu, że Lloyd George chętnie się posługiwał delegatami Afryki Południowej... generałami Smutsem i Bothą” (str. 43/II, wyd. 3.) oraz, że „Dla Niemiec pracowali tak czy inaczej zamaskowani Niemcy i inni agenci, będący w służbie ich państwa, dla nich pracowały Żydzi, ich koncepcje polityczne szerzyły związane z nimi odłamy wolnomularstwa, im wreszcie pomagali nawet niektórzy Polacy na zachodzie” (str. 51/II, wyd. 3.).

Powieść powieścią — ale w każdym razie jest ona w głównych założeniach oparta na materiale historycznym, dającym do poznania, że Niemcy się doskonale orientowali w trudnościach, z jakimi walczyć musiał Dmowski.

(z)

lat pracy i zabiegów. Przy tym tłumacz nie jest z zawodu literatem ale adwokatem. Na końcu książki znajduje się lista stu kilkudziesięciu subskrybentów z całego dostownie świata i bardzo różnych kierunków myślenia. Nie ma prawdziwej kultury bez miłości dla książki i zainteresowania przeszłością. Takie małe oazy luksusu kulturalnego w najcięższych i najbardziej barbarzyńskich czasach świadczą o żywotności kultury narodowej. Indywidualny odskok od „szimmlu” książki „potrzebnej” i „celowej” do książki „którą ja lubię” jest zjawiskiem zdrowym i pocieszającym. I dlatego nie miałoby sensu pytanie, dla czego p. Gajewicz wydał Gracjana a nie np. Orzechowskiego lub Monteskusza.

Baltazar Gracjan T. J. nie był zresztą byle kim. Tak pod względem stylu jak i treści jest to jeden z najwybitniejszych przedstawicieli baroku hiszpańskiego. Mąż to bardzo światowy i zarazem bardzo jezuitki. Jest w nim coś z Makiawela i coś z „Il Cortegiano”. Należał do tych ludzi wczesnego baroku, przez których spokojnie obok siebie płynęły nurty scholastyki katolickiej i pogańskiej filozofii antycznej. Gorąca wjara godziła się w tego typu ludziach z pochwałą chytrych doczesnej i filozofią wyrozumiałą aż do cynizmu. To właśnie pomieszenie elementów zyskało sobie popularne miano jezuityzmu.

Spośród siedmiu dzieł o Baltazarze największą wzięłość zdobyły maksymy zatytułowane w oryginale: „Wyroczenia podręczna i sztuka roztropności”. Miały one przed stu kilkudziesięciu laty słabe tłumaczenie polskie. P. Gajewicz przełożył je nowoczesną polszczyzną prostą, bezbłędną i wykwinną. Opatrzył książkę pięcioma rycinami, ozdobił inicjałami i wnieściami, opisał artystycznie w stylu epoki. Dał wstęp o autorze, własne przypisy i niektóre glossy, bibliografię i skorowidz nazwisk. Przy czym, rzecz w polskich wydawnictwach niezmiernie rzadka, nie ma w książce błędów drukarskich.

Maksymy Gracjana są mądre. Nie sposób streszczać maksym, ponieważ same one są streszczeniem myśli. Dla naszych rodaków wydaje mi się szczególnie aktualna maksyma 31: o unikaniu nieszczęśliwców. „Zazwyczaj — pisze doświadczony w sprawach tego świata jezuita — nieszczęście jest wynikiem szaleństwa. Nie ma większego niebezpieczeństwa niż zarażenie się od nieszczęśliwych... Najlepsza karta w toczącej się grze jest więcej warta niż najlepsza nawet w partii rozegranej”. Teraz wiecie dlaczego was unikają?

Na pociechę dla Polaków, że nie jesteśmy w świecie jedyńi, można powtórzyć, co Gracjan mówi o swoich rodakach w maksymie 242: „Innym znów brak cierpliwości; ta wada cechuje Hiszpanów, natomiast zaleta Flamandczyków jest właśnie cierpliwość. Toteż ci drudzy cieszą się rezultatami swych wysiłków, podczas gdy koniec przedsięwzięć hiszpańskich bywa na ogół żalony. Możną się do chwili dokonania trudności i na tym porzucić. Niezdolni wykorzystać zwycię-

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

MAKSYM Y GRACJANA

Baltazar Gracjan, jezuita hiszpański. BREWIARZ DYPLOMATYCZNY. Z 3. wydania francuskiego (1692) z przypisami A. M. Amelot de la Housaie, sekretarza ambasady francuskiej w Wenecji, przełożył, wstępem i końcowymi przypisami opatrzył Bohdan Gajewicz. Paryż, 1949. Str. 343. Wydanie bibliofilskie z ilustracjami i spisem subskrybentów. Cena 18 sh. Do nabycia w księgarniach.

... jeden z bukinistów, na wprost katedry Notre-Dame, zachwalał komuś właśnie maleńki tomik w wiśniowym salfianie ze złoconiami. Rzadko teraz tylko takie można znaleźć cacka na wybrzeżu. Wziąłem do ręki: piękna oprawa — koronkowy deseń — złoczone brzegi — biblijny papier — egzemplarz świetnie zachowany — jakiś nieznan autor — tytuł: „L'Homme de Cour”, III wyd. z 1692 r. ... pierwsze od razu wrażenie: brewjarzyk. — Trudno się było oprzeć.” Tak tłumacz

opowiada genezę wydania tej książki.

Fakt jej ukazania się jest na pozór dziwny, ale w gruncie rzeczy pocieszający. W atmosferze jednego z największych przewrotów w dziejach, w dobie ogromnej klęski naszego narodu, wśród pozbawionej naturalnej gleby grupy uchodźców polskich, gdzie nie ma prawie ludzi zamożnych i kulturalnych jednocześnie, gdy sprzedaż książek polskich jest minimalna a nowe nie ukazują się niemal na wychodźstwie, gdy w kraju wychodzą coraz rzadsze i coraz marniejsze wydawnictwa, jak egzotyczny kwiat na pogorzeliśku ukazuje się książka pod każdym względem luksusowa: tłumaczenie trzystu maksym życiowych barokowego pisarza hiszpańskiego, wydane jak najstaranniej, jak najestetyczniej, z prawdziwą miłością do książki. Wydanie to jest dziełem jednego niezamożnego człowieka, owocem trzech

stwa... bo ostatecznie odgrywa tu zawsze rolę niemoc twórczą albo lekkomyślność. Jeżeli plan był dobry, dla czego nie został wykonany? A jeśli był zły — po cóż zaczęto go wykonywać?”.

Tłumaczowi można postawić jeden tylko chyba zarzut: przestankowanie jego jest wyraźnie pod wpływem francuskiego, z charakterystycznym zbyt częstym w języku polskim używaniem przecinka.

ROSIJA

JEST ODPOWIEDZIALNA ZA WOJNĘ 1939

A. Rossi: DEUX ANS D'ALLIANCE GERMANO-SOVIETIQUE. AOUT 1939 — JUIN 1941. Librairie Arthème Fayard, Paryż 1949. Stron 225. Cena 250 frs.

Rossi jest publicystą i autorem paru książek z zakresu wiedzy politycznej. Omawiana tu praca jest sumiennym i interesująco napisanym studium blisko dwuletniego sojuszu niemiecko-sowieckiego z pierwszego okresu ostatniej wojny światowej.

Książka opiera się na dostępnych pi-sarzom zachodnio-europejskim źródłach archiwalnych, m.in. na opublikowanych przez rząd amerykański dokumentach z archiwów niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych (pt. „Nazi-Soviet Relations”), na sprawozdaniach z procesu norymberskiego, na dzienniku Ciana itd. Autor nie daje się ponieść fantazji i trzyma się ściśle w granicach sprawdzalnych i obiektywnych.

Zajmuje on jednak pewne określone stanowisko wobec wydarzeń, które opisuje, stanowisko krytyczne wobec polityki sowieckiej, wskazując na jej dwulicowość i perfidię. Z licznych, przytoczonych przez Rossiego faktów niezłomie wynika, że inicjatywa do porozumienia się z Niemcami w 1939 r. wyszła od Rosji. Jeszcze wtedy, gdy Niemcy hitlerowskie próbowały po raz ostatni pozyskać Polskę do wspólnej wyprawy przeciwko Rosji, tj. w marcu 1939 r., Stalin wystąpił z przemówieniem przed XVIII kongresem partii bolszewickiej, w którym dał wyraz tendencjom ugodowym w stosunku do Niemiec. Zostało to odpowiednio zrozumiane w Berlinie.

Autor przypomina dalsze perypetie zbliżenia sowiecko-niemieckiego. Dnia 17 kwietnia Moskwa podjęła inicjatywę w kierunku oficjalnego sondowania gruntu dla porozumienia z Rzeszą. 4 maja Litwinow został nagle zdymisjonowany, co było wyraźną wskazówką, iż Stalin zmierza do porozumienia z Hitlerem i gotów jest usunąć wszystkie przeszkody na tej drodze. 20 maja Mołotow w rozmowie z ambasadorem niemieckim pierwszy wszedł na tor wyrażnie polityczne. Wreszcie nie ulega wątpliwości, że propozycja zawarcia paktu o nieagresji, jak i tajnego protokołu w sprawie podziału Europy środkowo-wschodniej na strefy niemiecką i sowiecką wyszła z inicjatywy Moskwy. Autor przy tym wyraźnie stwierdza, co zresztą nie ulega wątpliwości, że „pakt o nieagresji z 23 sierpnia 1939 r. był paktem o agresji przeciwko Polsce”.

„Brewiarz dyplomatyczny” należy czytać tak, jak czytano książki w czasach wydania „Oraculo manual” a nie jak czyta się je przeważnie dzisiaj, to znaczy nie można jej przeczytać od razu w ciągu paru dni i odrzucić, trzeba ją mieć na stałe i smakować w niej przez lata po trochu. Tak też i jest wydana.

W. W.

Rozmowy z demokracjami zachodnimi, w szczególności rozmowy wojskowe miały tylko ten jeden cel, by od Hitlera wymóc wyższą cenę za współpracę Rosji z Rzeszą.

Nie jest też prawdą, jak to próbował sugerować komunikat sowiecki, że Związek Sowiecki wystąpił z akcją wojskową w Polsce we wrześniu 1939 r. by jakoby bronić przed okupacją niemiecką terytoriów przyznanych Rosji na podstawie tajnego protokołu z 23 sierpnia. Rosja interweniowała na wyraźne żądanie Niemiec i objęła w posiadanie ziemie wschodnie Polski za pełną zgodą i przy ściśłym współdziałaniu z rządem i wojskiem niemieckim.

Wreszcie, żeby zakończyć rejestr grzechów rosyjskich wobec Polski w związku z wydarzeniami z 1939 r. i z ówczesną współpracą sowiecko-niemiecką, należy wspomnieć, że rząd niemiecki pod presją Stalina wyrzekł się wszelkich zamiarów utrzymania przy życiu jakiegś kadłubowej, formalnie niezależnej Polski i stworzył tylko „generalną gubernię”.

Dzisiaj jednak propaganda komuni-

styczna w Polsce przedstawia Stalina jako dobroczyńcę i przyjaciela Polski.

Gdy Rosja Sowiecka tak bez skrępowań poświęcała Polskę, gorzej nawet, robiła wszystko, by wymazać zgoła Polskę z mapy Europy, rząd polski przez odrzucenie ponawianych trzykrotnie ofert niemieckich w kierunku wspólnej niemiecko-polskiej wyprawy na Rosję (w październiku 1938 i w styczniu i marcu 1939 r.) i przez odrzucenie żądań niemieckich w sprawie Gdańska i Pomorza spowodował decyzję Hitlera rozstrzygnięcia sprawy na drodze wojny. Nie ulega jednak wątpliwości, że polityka rosyjska jest współodpowiedzialna za wybuch tej wojny. Autor pisze w związku z tym: „Dokumenty wykazują, że idea tej wojny i idea współpracy z ZSSR powstaje w tym samym czasie, wiosną 1939 r. i że wojna staje się rzeczą pewną w miarę jak ta współpraca jest zapewniona” (str. 57).

Opis tej współpracy politycznej, wojskowej i gospodarczej, która trwała przez blisko dwa lata wypełnia większą część książki. Współpraca ta byłaby trwała niewątpliwie dłużej, gdyby Hitler nie był zdecydował się pójść za głosem swej „intuicji” i nie był zaatakował Rosji w czerwcu 1941 r. „Rosja jest więc w ten sposób zmuszona przez Niemcy do wejścia w wojnę i staje się, wbrew swej woli, sojuszniczką demokracji zachodnich” (str. 214).

Książka zawiera jedną tylko fotografię, jednak bardzo wymowną, a przedstawiającą podpisywanie paktu o nieagresji z 23 sierpnia 1939 r. W chwili edy Mołotow składa swój podpis, Stalin kordialnie obejmuje ramię Ribbentropa; obydwoj są radośnie uśmiechnięci.

Tak to w praktyce wyglądała „walka z faszyzmem” wielkiego Stalina.

REŻYM TITY

Monty Radulovic: TITO'S REPUBLIC. Coldharbour Press, Londyn 1948. S. 100 241.

Autor jest dziennikarzem jugosłowiańskim, który w czasie wojny walczył w szeregach brytyjskich, a po wojnie wrócił do Jugosławii, by służyć swej ojczyźnie. Nie wytrzymał jednak dłużej niż rok i z obawy przed grożącym mu aresztowaniem zbiegł za granicę.

Książka napisana jest stylem reportażowym, co raczej utrudnia zrozumienie rzeczywistości politycznej obecnej, tjtowskiej Jugosławii. Przyczyna dojścia do władzy Tity i niepowodzenia i katastrofy Ruchu czetników gen. Michajłowicza w opisie autora nie rysują się dostatecznie jasno. W ogóle u autora wyczuwa się brak solidnego wykształcenia politycznego. Sam on podkreśla swą apolityczność, w co łatwo uwierzyć po zapoznaniu się z treścią książki. Jedyną busolą autora w zakresie politycznym jest jego pragnienie wolności, której oczywiście nie mógł znaleźć w obecnej republice jugosłowiańskiej.

Radulovic zresztą nie idealizuje bynajmniej dawnych przedwojennych stosunków politycznych w Jugosła-

wii; przeciwnie, ocenia je bardzo surowo. Sądzi on też, że pod niejednym względem posunięcia Tity były szczęśliwe i pozytywne, np. jeśli chodzi o organizację współzycia narodowości składających się na Jugosławię.

Mimo wszystkich braków, jakie dostrzegamy w książce, mimo oczywistego braku kwalifikacji, wykazanego przez autora do podjęcia oskarżenia obecnego reżymu jugosłowiańskiego, mimo przewagi elementu anegdotycznego nad rozumowaniem politycznym — mimo tego wszystkiego a może właśnie dlatego — książka-reportaż znaleźć powinna chętnych czytelników w świecie angielskim, do którego mentalności jest niezłe dopasowana.

Bo przecież mimo całej apolityczności postawy autora obraz współczesnej Jugosławii nie może się nie rysować w barwach ponurych i odrażających. Wyklęcie Tity przez Komintern w 1948 r., czego książka nie zdążyła już uwzględnić, niewiele zapewne zmieniło w istocie położenia. Jugosławia jest jednym z modelowych okazów państwa za żelazną kurtyną. Tito doszedł do władzy dzięki oparciu się na bagnatach armii czerwo-

nej. Wszystko, co się dzieje w kraju, służy umocnieniu reżymu komunistycznego. Nie ma w kraju wolności politycznej, obywatelskiej, religijnej, wolności prasy i przekonań. Ujarzmione zostało sądownictwo, duchowieństwo Kościoła Katolickiego i prawosławne jest prześladowane, szkolnictwo poddane bezwzględnie oddziaływaniu idei komunistycznej. Wybory są oczywiście manipulowane i nie dają wyrazu wolnej woli społeczeństwa. Oslawiona OZNA, policja bezpieczeństwa, jest siłą, której nikt nie jest w stanie się oprzeć. Wprowadziła ona i rozpowszechniła system szpiegostwa i donosicielstwa, które przenika nawet do stosunków rodzinnych.

W żelaznych kleszczach tego bezlitosnego i ponurego systemu komunistycznego, w którym dobrze jest niewielkiej grupie przywódców (a i oni żyją w ustawicznej obawie) spo-

leczeństwo dławii się i cierpi, a kto może, ucieka za granicę, jak to uczynił sam autor.

Jakkolwiek w książce brak jest wniosków i ogranicza się ona do samego opisu, niemniej czytelnikowi nasuwa się pytanie, czy może trwać system polityczny, oparty na zaprzeczeniu elementarnych zasad wolności społecznej i indywidualnej. Trwałość jego uzależniona jest tylko od istnienia siły fizycznej, która społeczeństwu narzuca swą wolę. Zródłem tej siły dla reżymów komunistycznych poza żelazną kurtyną jest oczywiście Rosja Sowiecka, nawet dla reżymu Tity, mimo obecnych nieporozumień. Pomimo wszystkich swych braków książka autora jugosłowiańskiego pozwala zrozumieć całą treść antyhumanistyczną i antycywilizacyjną praktyki komunistycznej

(m. ost.)

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

WIECZÓR

AUTORSKI WIKTORA TROŚCIANKI

Dnia 26 lipca w sali Klubu Towarzystwa Polskiej YMCA odbył się wieczór autorski Wiktora Trościanki.

Słowo wstępne wygłosił prof. dr Władysław Folkierski mówiąc o związku polityki z literaturą. Prelegent w ciekawym przeglądzie historycznym uzasadniał ważność tego związku w twórczości.

Artyści dramatyczni p. Lena Zelwerowicz i p. Leopold Pobóg-Kielanowski, dyrektor Polskiego Teatru Dramatycznego im. Juliusza Słowackiego, recytowali utwory poetyckie Trościanki oraz fragment z jego sztuki dramatycznej pt. „Nastawnia”. Autor następnie odczytał dłuższy fragment ze swojej powieści pt. „Lato pokoju” i recytował wiersz „Pokłon Trzech Króli”.

Wieczór był dużym sukcesem, sala całkowicie zapelniona.

LIKWIDACJA TRZECH PISM

Zwolna zmniejsza się ilość pism polskich na uchodźstwie. W ostatnich miesiącach zanotować wypada likwidację z różnych powodów trzech rozmaitego typu wydawnictw.

W Niemczech wychodzić przestał tygodnik „Kronika” we Frankfurcie. Zmniejszanie się liczby Polaków w tym kraju wskutek emigracji wróżyć się zdaje raptownie zmniejszenie prasy polskiej. W tej chwili wychodzą tam dwa dobrze redagowane tygodniki: „Polak” w zonie brytyjskiej i „Zjednoczenie” w zonie amerykańskiej.

Po blisko dziesięcioletnim ukazywaniu się, przestała wychodzić jako odrębne pismo „Polska Waleczka”, ostatnio będąca organem SPK. Zamiast niej ukazywać się będzie tygodniowy dodatek pod tymże tytułem w „Dzienniku Polskim”. Już dawniej przestały wychodzić jako odrębne pismo „Skrzydła”, organ samopomocy lotniczej.

Z dawnych pism oddziałowych wydawanych na powielaczu zamknięte zostały jako jedne z ostatnich „Nowiny 4 Dywizji Piechoty”.

ZE ZWIĄZKU ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH

Trwający od kilku miesięcy kryzys w Radzie Naczelnej Związku Ziemi Północno-Wschodnich R. P. został wreszcie zakończony. Powodem jego była krytyczna ocena przez poważną część członków Rady działalności prezesa p. S. Mackiewicza, który w konsekwencji ustąpił ze swego stanowiska.

W dniu 19 sierpnia wybrano nowe władze w następującym składzie: prezes — mec. Olgierd Daniłowicz, wiceprezes — gen. Nikodem Sulik, sekretarz — dr Stanisław Kodź.

Zarząd Główny Związku, zdekompletowany po ustąpieniu jego prezesa p. J. Godlewskiego, ma kooptować wkrótce nowych członków i wybrać nowego prezesa.

Zahamowane trochę ostatnio prace Związku, po tych personalnych zmianach — należy sądzić — poprowadzone będą energiczniej.

WŁADZE ZPUW

Zjazd ZPUW w Paryżu wybrał nowe władze w następującym składzie:

Prezesem Zjednoczenia został wybrany p. Różański (W. Brytania); wiceprezesami zostali pp.: Arciszewska (W. Brytania), Opel-Nowak (Francja), Olszewski (Niemcy) i Pączkowski (Francja); sekretarzem został p. Michałowski (Francja), skarbnikiem p. Moszczyński (W. Brytania); do Komitetu Wykonawczego weszli na członków pp.: Gajewicz (Francja), Harusewicz (W. Brytania), Jaroszewski (Niemcy), Korycki (W. Brytania), Mikiciuk (Niemcy), Polowiec (W. Brytania), Rudowski (Francja) i Wierzbiański (W. Brytania).

O przebiegu zjazdu piszemy na innym miejscu

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 8/137 „Myśli Polskiej” z sierpnia 1949 r. na str. 12 został umieszczony rysunek przedstawiający Conrada. Powstało stąd nieporozumienie, które pragnę wyjaśnić, aby postawić na właściwym planie stronę moralną tej sprawy. Swego czasu ofiarowałem ten rysunek dr W. Tarnawskiemu, który zapewne w najlepszej wierze, ale bez porozumienia się ze mną, opublikował go z okazji rocznicy śmierci Conrada. Wina moja polega na tym, że nie wyjaśniłem mu wtedy, iż rysunek nie jest oryginalny, że wykonałem go ściśle wg projektu portretu H. Segala, w takim samym materiale, tj. kredzie (scrapboard). Pochodzi on sprzed jakichś 2 lat, z okresu, kiedy miałem zamiar poświęcić się grafice użytkowej. Była to zwyczajna wprawka w operowaniu rylcem i tym się tłumaczy akademicki charakter wykonania rysunku. A najgorsze, że jestem pod nim podpisany.

Dziękując za umieszczenie powyższego, łączę wyrazy prawdziwego poważania.

B. Kobrzyński

TREŚĆ NR 138 (ROK IX, NR 9) „MYŚLI POLSKIEJ”

DRUGA WOJNA I ZIMNA WOJNA — Rada Europy — Rewizjonizm niemiecki — Chora psychika niemiecka — „Realizm” — Polska i Rosja — Dekret prześladowczy — Zjazd ZPUW w Paryżu — Akademie...; OD WASZYNGTONA DO TRUMANNA — Z. Abdank; MAŁE MARZENIE — Wacław Iwaniuk; Poeta Henryk Mirzwiński; NISZCZENIE SĄDOWNICTWA — Baltus; PRZYCZYNY NIEPOWODZENI SOCJALIZMU — S. Ł.; LIST Z ARGENTYNY — Józefa Radzymińska; ŻOŁNIERZE SPOD ZNAKU MICHAŁA ARCHANIOLA — Wjktor Trościanko; W ZAPOMNIANĄ ROCZNICĘ — (z); MAKSYM JEST GRACJANA — W. W.; ROSJA JEST ODPOWIEDZIALNA ZA WOJNĘ 1939; REŻYM TITY — (m. ost.); WIECZÓR AUTORSKI WIKTORA TROŚCIANKI; LIKWIDACJA TRZECH PISM; ZE ZWIĄZKU ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH; WŁADZE ZPUW; LISTY DO REDAKCJI.

„MYŚL POLSKA”

założona w 1941 r. w Londynie.
ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street,
London, W.8. Tel. WESTern 197.

Prenumerata półroczna (6 numerów)
12s lub 4 dol.

Prenumerata roczna (12 numerów)
f.1 4s Od lub 8 dol.